W numerze: „Pójdź dziecię, ja ci drogę wskażę...“ ● Sny ● Kino Dobrych Widzów ● Więcej o współczesności ● Reportaż z paragrafem ● Chwila zwierzeń ● Felietony ● Recenzje ● Polonica

odgłosu

MIONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

Nr 49 (353)
6. XII. 1964 r.
10 stron
CENA 1 ZŁ.

TYGODNIK ROK VII

Fot. W. Parys

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DWORCE DIABŁÓW I ANIOŁÓW

Zmierzch gęstniał za oknami i w świetle jarzeniowych lamp oczy mężczyzn stojących przy barze robiły się mętne. Dopiero, gdy drzwi restauracji otworzyły się z trzaskiem i wkroczyło paru podchmielonych drakmanów, ten i ów ze zmęczonych, podniósł głowę i senna atmosfera prysła...

— Ury-bury z Karolewa — doszło mnie z boku.

Głos mówiącego — sepleniący i cichy — przywodził na myśl grę na flecie:

— Gała, to jest Gała — informował kolegów.

Gała w tym czasie podjechał z dwoma kumplami pod bufet i udając straszną pewność siebie, krzyknął do barmanki o trzy piwa.

Pili na stojąco, oparci plecami o ladę. Z papierosami w nieruchomych palcach i pomarszczonymi cwaniacko czołami. Gała (obserwowałem go dyskretnie) jest modelem dzisiejszego chuligana. Dworcowego. Wykarmionego na westernach. To lekkie zgarbienie pleców i ugięte w kolanach nóżki... Ta ręka spuszczona na biodro — jak pod obecność colta. Ta oszczędność gestów i spojrzeń, lakoniczność odzywek — nieustanna prowokacja...

Kogo prowokują? — chciałem zgadnąć. — Kogo? Tych wyrostków z teczkami na kolanach wpatrujących się w Gałę z bezgranicznym podziwem? Kolejarza, który przez zmęczenie zapomniał zdjąć czapkę, czy starą, roztrzęsioną kobiecinę pijącą herbatę z łyżką w oku?... Może trzech donżuanów spod Łowicza, albo żołnierza, wracającego do jednostki z urlopu, którego czerwone spracowane ręce... czemu muszą mnie wzruszać?... A może pazernych na piwo włóczęgów (spotkasz ich na Kaliskim o każdej porze dnia i nocy)?...

Więc kiedy napięcie rosło, a odczuwali to wszyscy, wkroczył do sali milicjant i egzaltacja Gały — wiedział, że jest w centrum zainteresowania — dosięgała szczytu. Ruszył wówczas na wprost munduru, pchany imperatywem chwili — chwili, zdawało mu się, jedynej, upojnej, wartej całego życia — a jeden z kumpli szedł za nim, niby Grzechotnik za Clay'em na „Dwóch złotych coltach“. Był tuż, tuż...

Przypomniałem sobie wówczas mizerny dworzec Giżycka, parę młodych letniczek w obcisłych spodniach i rozwydrzonego, spitego tanim winem szczeniaka, który rozkolebanym krokiem szedł na milicjanta, jak teraz Gała. Szczeniak chciał uderzyć, ale (śmieszne!) milicjant złapał nadlatujące ramię, wykręcił w stawie, aż chrupnęło i wziąwszy kolejarza na świadka odprowadził bohatera na komendę. Ile szczeniak mógł dostać? Rok, sześć miesięcy? Osiemnaście latek miał za sobą, więc sianem się nie wywinął i za tę jedną, upojną chwilę szarży, za ten nędzny błysk podziwu w oczach skąpego audytorium — z całą pewnością zapłacił...

Ale Gała, gdy był tuż, tuż... stchórzył. Opuścił skromnie skudloną czaszkę, opuścili głowy jego towarzysze i popędzani szorstkim: „Żebym was tu więcej nie widział“ — gremialnie opuścili stację i zanurzyli się w mrok.

W restauracji zaś dworcowej — Łódź-Kaliska — z wolna wracał spokój...

Włóczędzy spod baru piją czwartą kolejkę. Wyrostków z teczkami już nie ma. Donżuani z Łowickiego znowu wpadli w swadę i uwodzą z dużym wdziękiem blade dziewczę. Głos spikera — wibrujący i ckliwy — obwieszcza pociąg z Wrocławia. Babina jakaś — w czarnej chuście na głowie — z impetem rzuca się — wskroś stoliki — do drzwi, a gęś, którą taska w wyplatanej kobiałce — żałośnie gęga...

— Pociąg osobowy do Łowicza jest podstawiony na toze dziewiątym psy peronie tsecim — mazurzy spiker, więc wyczuwam, że to inny, że w radiowęźle odbyła się zmiana.

— Planowy odjazd pociągu godzina dwudziesta minut pięćdziesiąt.

Dwudziesta pięćdziesiąt — pomyślałem. — O tej porze pojawia się na Kaliskim długowłosy, sześćdziesięcioletni dziwak. Znam go z barów mlecznych, z „Rekordu“ i „Balatonu“; najeżdża czasami pierwszą salę „Łodzianki“. Przyjdzie dzisiaj, czy nie? Tydzień temu przesiedział tu do drugiej w nocy i dopiero, gdy na własne oczy zobaczyłem, jak wlecze się z powrotem w miasto — uwierzyłem, że ta twarz — zmęczona, zadumana twarz podróżnego — nie na pociąg tu czeka. Więc na co?

Na co czeka tych paru pomarszczonych.

Dalszy ciąg na str. 5

ZE ŚWIATA

Jakby Belgowie i Amerykanie nie usprawiedliwiali swej akcji w Kongo — nie zmieni to faktu, że dokonano po prostu zbrojnej interwencji. Interwencji, w której wzięli udział skoczkowie belgijscy i amerykańskie samoloty. Przyczyniła się do niej i W. Brytania, oddając do dyspozycji desantu swą bazę.

By zamaskować oczywiste cele operacji wojskowej — szermuje się szeroko przymiotnikiem: „humanitarna". „Humanitaryzm" ów polega zaś na tym, że miast rozwiązać problem zakładników, drogą rozmów, zastosowano metodę masowego mordu, na ślepo, z samolotów zrzucając bomby i krzyżując ogień broni pokładowej.

Tak więc raz jeszcze amerykańskie samoloty i belgijscy komandosi dokonali tego, co nigdy nie mogło się udać Czombemu — otworzyli jego najemnikom drogę na Stanleyville.

Mylą się jednak kolonizatorzy, jeśli sądzą, że zbrojną interwencją złamią opór powstańców. Minister spraw zagranicznych rewolucyjnego rządu kongijskiego — Kanza oświadczył na ten temat:

„Boje będą kontynuowane do tej pory, aż Europa i Ameryka przekonają się, że nasza walka o wolność, nie jest rebelią, bądź też secesją... ale rewolucją na wskroś ludową, dążącą do zdobycia prawdziwej niepodległości".

Brutalna operacja wojskowa w Kongo wywołała ostry protest opinii światowej. O jej następstwach tak pisze francuski „Liberation":

„Cała Afryka, trzeci świat, kraje socjalistyczne potępiają ten zamach i demaskują jego podejrzane kulisy.

Współpracy między rasami wymierzono bardzo ciężki cios. Nienawiść do Czombego — zabójcy Lumumby i notorycznego wspólnika kolonializmu wzrosła dziesięciokrotnie. Wszystko to będzie jeszcze bardzo wiele kosztowało".

W tym samym czasie, kiedy podjęto interwencję, hamburski tygodnik „Stern" zamieścił reportaż z Konga, poświęcony białym najemnikom. Znajdujemy tam następujący, interesujący fragment:

„Do ludzi głodnych przygód wśród białych najemników należą szczególnie Niemcy. Są niezwykle wysoko cenieni... Wytworzyła się legendarna opinia, iż są oni specjalistami w rozwiązywaniu problemów rasowych".

Tygodnik przytacza następnie rozmowę z Niemcem — dowódcą najemników, który żelazny krzyż „nosi dziś z taką samą dumą, jak przed dwudziestoma laty". — „Jest to oryginalny krzyż zasługi ze swastyką". — podkreśla tygodnik.

Z innego fragmentu reportażu dowiadujemy się, co rozmówcę „Sterna" przywiodło do Konga oraz w imię czego naraża swe życie za... 5 tys. zachodnioniemieckich marek żołdu.

„Służymy co prawda pod obcymi sztandarami, ale właściwie mamy ten sam cel, co Republika Federalna: walkę przeciwko bolszewizmowi".

Pomyślcie Czytelnicy — w kongijskich dżunglach, masakrując miejscową ludność!

Kongijski problem — pisaliśmy już o tym — powraca na porządek dnia z wielką regularnością. Zawsze towarzyszą jemu krwawe ofiary.

A wszystko dlatego, że kolonizatorzy nie chcą pogodzić się z utratą złotodajnej żyły. A przecież wcześniej czy później i tak jest nieuniknione.

Wydarzenia kongijskie przeplatały się na czołówkach gazet światowych z reakcjami na wystąpienie premiera Wilsona w Izbie Gmin. Zwłaszcza w Waszyngtonie i Bonn.

Boński korespondent DPA pisze na przykład, że nadzieje NRF na szybkie urzeczywistnienie projektu MLF jako multilateralnej siły atomowej Zachodu spadły po tym oświadczeniu do „punktu zerowego". Zrozumiano je bowiem jednoznacznie jako polityczną i militarną odmowę w stosunku do wszystkich niemiecko-amerykańskich prób ożywienia sił wielostronnych.

Cóż to takiego powiedział premier Wilson?

Cytujemy za agencjami zachodnimi:

„Jesteśmy nieodwołalnie przeciwni większej liczbie palców na nuklearnym spuście".

Politycy bońscy dobrze rozumieją, co to oznacza. Zarówno więc minister Schroeder w Waszyngtonie, jak i von Hassel na uroczystości w Bawarii pośpiesznie oświadczyli, że stanowisko rządu federalnego wobec sił wielostronnych nie uległo zmianie i że „poza MLF nie ma bezpieczeństwa dla krajów europejskich".

Tak więc różnica zdań w pełni się utrzymuje i nic nie zapowiada, by grudniowa wizyta Wilsona w Waszyngtonie przyczyniła się do szybkiego wyjścia z impasu. Misję przygotowawczą do tej rozmowy — jak wydaje się — powierzono podsekretarzowi stanu — Ballowi, który ostatnio bawił w Paryżu i Londynie.

O tym, jaką pełną tragedii sytuację przeżywa blok atlantycki, świadczyć może fakt, że każdy dzień przynosi coraz to nowe sprzeciwy i zastrzeżenia. Osiągnięto punkt, w którym niemal każdy z filarów atlantyckiej wspólnoty chadza innymi drogami. Niektórzy komentatorzy zachodni przebąkują więc, że Ameryka będzie musiała na nowo sformułować swoją politykę.

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

NIEDZIELA, 22 LISTOPADA

■ Plenum KC PZPR zakończyło obrady: cała prasa krajowa publikuje uchwałę w sprawie zadań organizacji i instancji partyjnych w ujawnianiu rezerw produkcyjnych i doskonaleniu metod planowania.

■ Trwa ofensywa białych najemników na Stanleyville. Do współdziałania z nimi przygotowują się belgijscy komandosi.

■ Malawia otrzymała poważny kredyt zbrojeniowy od USA. Wymierzony on jest przeciw Indonezji.

■ Wybory samorządowe we Włoszech wskazują dalszą radykalizację opinii publicznej.

■ W Paryżu przyszły na świat pięcioraczki! W związku z tym mówi się o odrodzeniu demograficznym Francji notującej rocznie 900.000 narodzin przy 2,5% zgonów niemowląt.

PONIEDZIAŁEK, 23 LISTOPADA

■ Debata w Izbie Gmin nad polityką obronną Partii Pracy. Premier Wilson raz jeszcze definiuje swój punkt widzenia: „Jesteśmy nieodwołalnie przeciwni zwiększeniu ilości palców na cynglu atomowym".

■ Ambasador USA w Wietnamie Płd., gen Maxwell Taylor oświadczył, że uważa, iż zwycięstwo w Wietnamie osiągnie ta strona, która zdobędzie się na większą wolę zwycięstwa. A w Sajgonie nadal trwają krwawe rozruchy i demonstracje antyrządowe.

■ 50 osób zginęło w katastrofie samolotowej na rzymskim lotnisku.

■ W Dallas narodowo-socjalistyczna partia powołała do życia w pierwszą rocznicę zamordowania prezydenta Kennedy'ego swoją miejscową organizację. Rozplakatowano programy wzywające do „walki na śmierć i życie z integracją rasową i żydowskim komunizmem".

■ Hoower, szef FBI, wypowiedział się za zmianą w postępowaniu karnym przeciw nieletnim: „Uważam, że tragiczny stan jaki obserwujemy nakazuje nam obniżenie granicy wieku w procesach przeciw nieletnim co 16 roku życia. Nie należy przymykać oczu na fakt, że właśnie przez 17 i 18-latków niektóre z naszych miast zmieniły się w prawdziwe gniazda zbrodni".

WTOREK, 24 LISTOPADA

■ Belgijscy komandosi zaatakowali Stanleyville.

■ Rząd ZSRR kategorycznie zaprotestował przeciw akcji amerykańsko-belgijskiej w Kongo, określając ją jako zbrojną interwencję. W Sofii doszło do burzliwych demonstracji antyamerykańskich.

■ W Warszawie wznowione zostały chińsko-amerykańskie rozmowy dyplomatyczne.

■ Organizacja zrzeszająca 18 Instytucji i Towarzystw Żydów Amerykańskich złożyła na ręce min. Schrödera ostry protest, przeciw stosowaniu zasady przedawnienia w procesach o hitlerowskie ludobójstwo.

■ W Dakaundi (Pakistan) grupa uzbrojonych studentów zaatakowała ministra oświaty, gdy ten wygłaszał okolicznościowe przemówienie. Doszło do strzelaniny, w której zginęły dwie osoby.

■ Publicysta amerykański Alsop uważa, że należy jak najszybciej wprowadzić Chiny do ONZ: jeśli się tego nie uczyni stosunki międzynarodowe ulegną drastycznemu pogorszeniu.

De Gaulle i NATO w oczach niemieckiego satyryka

ŚRODA, 25 LISTOPADA

■ Kraje afrykańskie potępiają obcą interwencję w Kongo.

■ Włoska Partia Komunistyczna zdobyła 26% głosów w wyborach samorządowych.

■ W Rzymie coraz szersze kręgi zatacza skandal dyplomatyczny, wywołany próbą porwania agenta wielu wywiadów Mondchai Louka przez egipskich dyplomatów. Już trzech z nich uznanych zostało za „personae non gratae".

■ Japońscy naukowcy na podstawie badań opadu radioaktywnego po wybuchu chińskiej bomby atomowej sądzą, że Chiny są bardzo zaawansowane w dziedzinie badań nuklearnych i należy się niebawem spodziewać chińskiego eksperymentu z bombą wodorową.

■ Aleksy Adżubej pracuje obecnie w moskiewskiej redakcji tygodnika Kraj Rad. Pogłoski o jego przeniesieniu na prowincję okazały się nieprawdziwe.

■ Prokurator Generalny we Frankfurcie nad Menem za wskazanie miejsca pobytu zastępcy Hitlera, Martina Bormana wyznaczył nagrodę w wysokości 25.000 dolarów.

CZWARTEK, 26 LISTOPADA

■ Z okazji rocznicy powstania Republiki Turkmeńskiej Aleksy Kosygin oświadczył m. in. „Ze zrozumieniem odnosimy się do tych, którzy prawdziwie pragną pokoju i gotowi są w sposób rzeczowy, w duchu poszanowania interesów wszystkich zainteresowanych stron rozwiązywać nabrzmiałe problemy międzynarodowe i kroczyć drogą złagodzenia międzynarodowego napięcia".

■ Igrzyska Olimpijskie kosztowały 610 miliardów jenów (około 4 mln dol.). Z tej sumy około 600 miliardów pochłonęły inwestycje — obiekty sportowe, przebudowa sieci komunikacyjnej itp. 10 miliardów kosztowała organizacja igrzysk. Oblicza się, że Tokio odwiedziło w czasie Olimpiady około 80.000 turystów zagranicznych.

■ Z Wiednia donoszą, że przygotowuje się austriacką ofensywę gospodarczą skierowaną na Chiny. Jest to wynik pozytywnych rezultatów jakie osiągnęła bawiąca ostatnio w Pekinie Austriacka Misja Handlowa.

■ 54-letni wikariusz i nauczyciel religii z Elburg w Holandii został przyłapany przez swych parafian in flagranti z jedną ze swych małoletnich uczennic. Rada Parafialna postanowiła, że za karę frywolny duchowny winien na najbliższym nabożeństwie przed całą parafią złożyć samokrytykę. Tak też się stało.

PIĄTEK, 27 LISTOPADA

■ IV Kongres ZSL rozpoczął obrady.

■ Powstańcy kongijscy odbili część Stanleyville.

■ **Powiedzonko:** „Europejczycy powinni pamiętać o naszym przysłowiu: Kto szuka w dżungli miodu, może być pokłuty przez osy".
Kenneth Kaunda prezydent Zambii.

■ Tegoroczną literacką Nagrodę Goncourtów przyznano E. Couchon za powieść pt. „L'Etat sauvage". Nagroda ta związana jest z drobną tylko kwotą pieniężną (50 franków), zapowiada jednak zawsze ogromny sukces czytelniczy. Prawa autorskie na filmową wersję powieści Couchona wykupił natychmiast znany reżyser Georges Clouzot.

■ W londyńskich gazetach ukazały się ogłoszenia oferujące autentyczny (!) „Oddech Beatlesów" — w paczkach i opakowaniach plastykowych.

SOBOTA, 28 LISTOPADA

■ Narody Jugosławii obchodzą dziś rocznicę odzyskania niepodległości.

■ Czechosłowacja gotowa jest oddać do dyspozycji Rady Bezpieczeństwa kontyngent Sił Zbrojnych.

■ Kierownictwo amerykańskiego programu Badań Przestrzeni Kosmicznej (NASA) podało do wiadomości, iż dysponuje zgłoszeniami 600 ochotników, pragnących uczestniczyć w lotach kosmicznych. Z tej liczby, wybrano już 75 kandydatów do lotów na Księżyc w ramach programu „Apollo".

■ W Szwecji 13-letnia dziewczynka została matka.

POLONICA

ZAPOLSKA W BADEN-BADEN

Jak donosi „Die Welt" z 9 listopada br., Teatr Miejski w Baden-Baden wystawił „Moralność pani Dulskiej" Gabrieli Zapolskiej. Recenzent pisma, Jürgen Buschkiel, stwierdza: „Zgasł blask, który otaczał słynny utwór Zapolskiej w latach dwudziestych". Chociaż, zdaniem recenzenta, nie zniknęła z naszego życia moralność mieszczańska, chociaż pycha i obłuda, zamieszkałe w meblach pluszowych, egzystują w dalszym ciągu, stępiło się znacznie ostrze satyryczne sztuki Zapolskiej, a rozwiązanie problemu w „Moralności" dowodzi, że sama autorka nie wierzyła w przełomy społeczne. Jeśli chodzi o wykonanie sztuki na scenie Teatru Miejskiego w Baden-Baden, nie można powiedzieć, by należało ono do najbardziej udanych.

O MIKROPOWIEŚCI FILIPOWICZA

„Die Welt der Literatur" (12 listopada br.) drukuje recenzję, pióra Wolfganga Haedecke, o wydanej obecnie w NRF mikropowieści Kornela Filipowicza „Tagebuch eines Antihelden" (Pamiętnik antybohatera). Po streszczeniu fabuły, recenzent konkluduje: „Jest to historia człowieka współczesnego, jakich miliony we wszystkich krajach. Filipowicz opowiada tę historię z punktu widzenia antybohatera, a czytelnik sam musi sobie o niej wyrobić sąd. Książka jest dostatecznie dwuznaczna. Nam się raczej wydaje, że Filipowiczowi chodziło o pokazanie ponadczasowej, powszechnej postaci".

Sprawa jest, oczywiście, dyskusyjna. Natomiast poza dyskusyjne są walory tej prozy Filipowicza, która ukazała się właśnie u nas w drugim wydaniu.

O JANIE DE HARTOGU

W dwu numerach amerykańskiego tygodnika „Newsweek" z listopada br. znajdują się materiały o pisarzu holenderskim Janie de Hartogu. Jan de Hartog, powieściopisarz i dramaturg, autor granej w Łodzi na Małej Scenie Teatru Nowego sztuki „Całe życie", wydał niedawno nową powieść pt. „The Hospital", która spotkała się z dużym uznaniem krytyki i czytelników. Jan de Hartog, ożeniony z córką znanego dramaturga angielskiego, Priestleya, pisze w dwu językach: holenderskim i angielskim. Przed rokiem „Czytelnik" wydał po polsku jego powieść „Mary" — z życia marynarzy.

Kiedy Jan de Hartog dowiedział się, że jego „Całe życie" grane jest na scenach polskich, a nadto, że wydano również jego powieść, miał powiedzieć: „Bardzo mnie to cieszy. Mam przecież polskie imię Jan. A w ogóle lubię Polaków. Zetknąłem się z nimi w czasie ostatniej wojny. Dzielni to i mili ludzie".

No i co wy na to, mili Czytelnicy! Przyjemnie czytać takie słowa, nawet jeśli nie są prawdziwe.

JULIAN BRYSZ

Pójdź dziecię, ja ci drogę wskażę...

Z zapadłej wsi nad Bugiem chłopiec wędrował do Łodzi 4 dni i noce. Nie miał pieniędzy na drogę, podróżował więc, czym się dało — furmankami, autostopem, pieszo. Gdy zapukał do bram szkoły, było już po egzaminach wstępnych, wisiały listy przyjętych, a dyrektor właśnie porządkował papiery przed wyjazdem na wakacje.

Jakby żywcem wyjęty z Żeromskiego — Andrzej Radek lat sześćdziesiątych... Nie wiemy, czym ujął sobie dyrektora, wiemy tylko, że dziś jest pierwszym uczniem w technikum, które ma opinię jednego z najlepszych w kraju.

Wypada pomyśleć, co by się stało, gdyby ów dyrektor był biurokratą. Chłopiec odszedłby z kwitkiem, po doznanym zawodzie schowałby zapewne świadectwo siódmej klasy między pamiątki rodzinne, nie wytykając więcej nosa z rodzinnej wsi.

* * *

Stasiakowie — typowa łódzka rodzina robotnicza, poznana przeze mnie podczas którejś z reporterskich wędrówek. Córce zostawili prawo wyboru, nie sprzeciwiali się jej decyzji wstąpienia do liceum plastycznego. Dla syna, młodszego o dwa lata, postanowili znaleźć coś bardziej „konkretnego".

— Zbyszek pójdzie do zasadniczej szkoły mięsnej — wyrokuje Stasiakowa.

— W szkole mu doradzili, czy pani sama tak zdecydowała? — pytam.

— Ja sama. U rzeźnika było ogłoszenie, tam pisało, że za 3 lata będzie miał dobry zawód.

* * *

Mógłbym służyć większą ilością podobnych przykładów, ograniczę się jednak do przytoczenia tych dwóch tylko historii, których autentyczność jest gwarantowana, a które, choć każda w inny sposób, świadczą dobitnie, że wyborem drogi życiowej naszej młodzieży rządzi, na ogół, przypadek.

Jedną z podstawowych słabości naszego systemu oświaty, jest nieumiejętność takiego przygotowania i pokierowania młodego człowieka, by w przyszłości znalazł on właściwe miejsce w społeczeństwie, w „społecznym podziale pracy" — jak to precyzyjnie formułują uczeni w piśmie mężowie.

Celowo używam tu określenia „system oświaty", nie zaś „szkolnictwo", bo nie tylko szkoła ponosi winę za istniejący stan rzeczy. Niejednokrotnie rolę hamującą odgrywają tradycje rodzinne i klasowe. Brak nam programu działania i instytucji, która zajęłaby się sprawą „preorientacji zawodowej", sprawą nadzwyczaj istotną dla wszystkich nowoczesnych społeczeństw.

Jak te wszystkie hamulce działają w praktyce?

Do pierwszych nieporozumień dochodzi już gdzieś w piątej klasie szkoły podstawowej, kiedy to podczas zajęć praktycznych chłopcy uczą się stukania młotkiem, a dziewczęta — zgodnie z XIX-wiecznym modelem kobiety, żony i matki — szycia, prasowania, gotowania.

Gdy po ukończeniu klasy siódmej, przychodzi moment wyboru dalszego kierunku nauki, dziewczęta, oczywiście, rzucają się gromadnie do szturmu na szkoły gastronomiczne, odzieżowe, itp., a więc na szkoły, w których liczba miejsc ulega stałemu ograniczeniu. W bieżącym roku doszło do tego, że łódzkie władze oświatowe „odgórnym" zarządzeniem ograniczyły liczbę miejsc dla chłopców na typowo męskich specjalnościach, jak mechanika, energetyka i podobne. Miejsca „damskie" do ostatniej chwili pozostawały wolne, zapełniły się dopiero w trzecim rzucie egzaminów wstępnych, kiedy dziewczęta z aspiracjami na gospodynie domowe uznały wreszcie, że nie ma innego wyboru.

Na progu szkoły podstawowej i średniej obserwujemy również szereg innych zjawisk negatywnych. Młodzież, a szczególnie młodzież pochodzenia robotniczego, nastawia się właściwie na jeden tylko typ szkoły średniej: technikum. Ani zasadnicze szkoły zawodowe, ani licea ogólnokształcące, nie mają większego powodzenia. W związku z tym do techników dostaje się element najzdolniejszy. Są to głównie chłopcy, bo — jako się rzekło wcześniej — dziewczęta „nie widzą" tutaj dla siebie miejsca, poza nielicznymi kierunkami, jak ekonomika, czy chemia. Dla odmiany w liceach ogólnokształcących stanowią one ponad 70 procent liczby uczniów.

Uważny obserwator dostrzeże również pewne, wyraźne przedziały klasowe. Chłopiec z rodziny robotniczej z reguły obiera sobie technikum, dziewczynka — technikum lub szkołę zasadniczą, a w wypadku niepowodzenia na tym polu, decyduje się na liceum. Chłopcy z rodzin inteligenckich mniej więcej w połowie skłaniają się ku technikum, w połowie — ku liceum, dziewczęta z zasady idą do „ogólniaków". Oczywiście, pochodzenie społeczne bynajmniej nie określa zdolności bądź predyspozycji zawodowych młodego człowieka, czynnik ten należy więc uznać za wyraźną przeszkodę na drodze wyboru właściwego zawodu.

Pokłosie wszystkich nieprawidłowości zbiera szkoła wyższa, gdzie na pierwszych latach odpada około 40 procent słuchaczy, co jest m. in. następstwem niewłaściwie wybranego kierunku studiów. Dodajmy, iż wielu bardzo zdolnych absolwentów technikum w ogóle studiów nie podejmuje, ich miejsca zajmują nieraz całkiem „średni" licealiści, którzy chcąc nie chcąc muszą się kształcić nadal, bo matura ogólnokształcąca żadnych przecież kwalifikacji nie daje. Przewaga dziewcząt w liceach sprawia, że niektóre kierunki studiów, jak np. farmacja, medycyna, pedagogika, wszystkie specjalności humanistyczne, zostały niemal całkowicie „sfeminizowane", co z punktu widzenia społeczno-zawodowego jest nadzwyczaj szkodliwe.

Sporządzone przez nas zestawienie niedociągnięć bynajmniej nie jest kompletne. Ale chociażby wspomniane wyżej problemy, nawet gdyby nie było innych, wymagają, by sprawami przygotowania młodzieży do przyszłych funkcji społecznych, zająć się poważniej niż dotychczas.

Kto ma to robić? Średnie pokolenie, dzisiejsze pokolenie rodziców, w masie swej nie jest do tego przygotowane. Brak mu przede wszystkim wykształcenia, co jest następstwem przedwojennego, elitarnego systemu edukacji, a także następstwem wojny i spowodowanych nią przerw w nauce. Niejednokrotnie uczeń siódmej klasy jest dzisiaj w pewien sposób mądrzejszy od własnych rodziców, nie zawsze może spodziewać się od nich rozsądnej rady.

Zatem — szkoła, co w praktyce oznacza: nauczyciel. Ten wszakże, chociaż zna swojego ucznia i jego możliwości, nie orientuje się w zapotrzebowaniu gospodarki na określonych specjalistów, nie zna pełnej listy zawodów, a szczególnie zawodów nowych, które powstają wraz z postępem techniki.

Typowa metoda stosowana przez nauczycieli, o czym niejednokrotnie miałem możność się przekonać, polega na decydowaniu o przyszłości ucznia na podstawie jego ogólnych zdolności. W praktyce wygląda to mniej więcej tak:

- Uczeń zdolny, wytrwały, szczególnie wybija się w fizyce; niech idzie do technikum. Jakie technikum wybrać spośród dziesiątków możliwych, tego już nauczyciel nie wie.
- Uczeń przeciętny, bez specjalnych zainteresowań; skierujemy go do liceum ogólnokształcącego.
- Ogólnie słaby, ledwie sobie dawał radę; tylko do szkoły zasadniczej.

Takie postępowanie nie ma nic wspólnego z preorientacją zawodową. Zamiast możliwie szeroko poinformować ucznia o perspektywach, które się przed nim otwierają i pozwolić mu wybrać, bądź pomóc w tym wyborze, nauczyciel przejmuje funkcję psychologa, tzn. usiłuje decydować, jaki zawód jego wychowankowi będzie odpowiadał.

Właśnie, a co z psychologami? Od siedmiu lat we wszystkich miastach wojewódzkich, także i w Łodzi, istnieją poradnie psychologiczne, których głównym zadaniem jest pomoc w wyborze zawodu. Poradnia łódzka, w pierwszych latach istnienia notująca po kilkaset zaledwie wizyt, doszła w ubiegłym roku do liczby 6 tysięcy „klientów", co jest miarą jej poważnego zasięgu. W tej liczbie jednak ponad tysiąc przebadanych, to kandydaci do niektórych techników łódzkich, poddani obserwacji na zamówienie tych szkół. Psychologowie spełnili więc tutaj jedynie rolę selekcjonerów, przy egzaminach wstępnych, pomóc swoim pacjentom nie mogli, bo na to było już za późno. Pozostaje zatem około 5 tysięcy. Oznacza to, że mniej więcej piąta część absolwentów szkół podstawowych i średnich — a przecież każdy z tych absolwentów stoi w obliczu wyboru dalszej drogi życiowej — „otarła się" o poradnię.

Jeśli wspomnimy, że np. w Wielkiej Brytanii każdy uczeń regularnie co roku badany jest przez psychologa, a wyniki kolejnych badań dają w efekcie bezsporny obraz jego rozwoju umysłowego i predyspozycji zawodowych, to zrozumieć łatwo, jaki dystans dzieli nas w tej dziedzinie od krajów wysoko rozwiniętych. Nie stać nas w tej chwili na umasowienie badań psychologicznych i nadanie im charakteru obowiązkowego, bo psychologów jest dosłownie garstka. Jak stwierdził ostatnio dyrektor generalny Ministerstwa Oświaty — St. Dobosiewicz, gdybyśmy chcieli każdego ucznia choć raz tylko poddać badaniom, potrzeba by nam około 2,5 tysiąca psychologów, czyli pięć razy więcej, niż mamy obecnie we wszelkiego typu placówkach oświatowych. Perspektywy są dość mizerne, bowiem studia psychologiczne kończy co roku około 60 osób. Przy żadnej z wyższych uczelni nie ma katedry psychologii pracy, która kształciłaby specjalistów z zakresu poradnictwa zawodowego. Dodajmy, że nie istnieje w naszym kraju, ani jedna wytwórnia aparatury badawczej dla celów psychologicznych, w związku z czym wyposażenie placówek jest więcej niż skromne, a zdobycie jakiegokolwiek przyrządu, napotyka ogromne trudności.

Przy tym wszystkim trzeba pamiętać, że psycholog może pomóc w wyborze właściwie tylko wtedy, gdy pacjent zdaje sobie sprawę, w czym chce wybierać. Rozumując słusznie, że najpierw potrzebna jest ogólna informacja, poradnia w ubiegłym roku szkolnym skromnymi siłami swoich 16 pracowników zorganizowała blisko 120 odczytów i pogadanek dla nauczycielstwa i młodzieży szkolnej

Powstaje kwestia, czy to stosunkowo proste zadanie muszą spełniać psychologowie, czy nie lepiej byłoby — jak to np. sugeruje kierownik poradni, p. mgr Chmay — urządzić kursy dokształcające z zakresu preorientacji zawodowej dla nauczycieli zajęć praktycznych, którzy potem na swoich lekcjach mogliby te sprawy omawiać. Naszym zdaniem, istnieje również potrzeba pewnego przeszkolenia w tym zakresie nauczycieli innych przedmiotów, by np. na lekcjach chemii uczeń mógł się dowiedzieć, jakie konkretne perspektywy zawodowe czekają dziś chemika. Nie wykluczone, że upowszechnienie takiej zasady wymagać będzie dalszych korekt w programach nauczania. Nie twierdzę, że niektórzy, najbardziej światli nauczyciele już dziś tego nie robią, wyjątki wszakże potwierdzają tylko regułę.

* * *

Czytelnik, biegły w poruszanych tu sprawach, zdziwi się zapewne, że dotychczas nie wspomniałem ani słowem o wydawanych co roku informatorach szkolnictwa zawodowego i szkolnictwa wyższego, zawierających pełny spis szkół, jakie mają do dyspozycji kandydaci. Informatory takie powinny przecież dawać młodzieży dostateczną orientację

Otóż, moim zdaniem, ich rola jest bardzo ograniczona, żeby nie powiedzieć — drugorzędna. Niedawno miałem możność obserwować, jak uczniowie siódmej klasy jednej ze szkół łódzkich, dosłownie wyrywali sobie z rąk jedyny udostępniony im egzemplarz informatora w edycji sprzed... czterech lat. A było to w kilka tygodni po rozesłaniu przez Kuratorium najnowszego wydania, a wspomniana szkoła leży w centrum miasta.

Pomińmy jednak względy porządkowe, które często uniemożliwiają młodzieży dostęp do tych „źródeł wiedzy". Ważniejsze, czego uczeń może się z nich dowiedzieć. Otóż, bardzo niewiele. Wyczyta wprawdzie dokładną nazwę i adres szkoły, skomplikowane nazwy wszystkich specjalności, dowie się, czy szkoła dysponuje internatem, ale nie znajdzie odpowiedzi na pytanie podstawowe: do jakiej właściwie pracy szkoła przygotowuje, jakie daje perspektywy zawodowe.

Na jednym z ostatnich spotkań z dziennikarzami, wiceminister szkolnictwa wyższego — Eugenia Krassowska zapowiedziała, że resort, wspólnie z Komitetem Pracy i Płacy, przygotowuje do druku informator zawodów. Wydaje się, że władze szkół akademickich tym razem trafiły w sedno sprawy. Naszym zdaniem, podobny informator jest niezbędny również dla absolwentów szkół podstawowych, o czym powinno chyba pomyśleć Ministerstwo Oświaty. Byłaby to doskonała pomoc fachowa dla nauczycieli. Istnieje, co prawda, sporo literatury na ten temat, ale jakiegoś syntetycznego i aktualnego poradnika, obejmującego całość zagadnienia, dotychczas brak.

Miałem możność usłyszeć niedawno od wybitnego znawcy przedmiotu, prof. dr Bohdana Suchodolskiego, że Akademia Nauk w Nowosybirsku zajęła się „wyłowieniem" wszystkich najzdolniejszych w zakresie fizyki i matematyki uczniów klasy siódmej w tym mieście i stworzyła dla nich specjalną szkołę średnią przy swoim instytucie. Czy takie „hodowle talentów" mają coś wspólnego z poradnictwem zawodowym? Moim zdaniem, mają bardzo wiele. U nas zakłada się poradnictwo rzec można — bierne, tzn. w najlepszym wypadku poinformowanie młodego człowieka o możliwościach, jakie się przed nim otwierają i danie mu możności sprawdzenia, drogą badań psychologicznych, do jakiej z tych możliwości najlepiej „pasuje". Wszelkie zabiegi, mające na celu wykrywanie talentów i stwarzanie im szczególnie korzystnych warunków rozwoju, uważa się u nas na ogół za elitaryzm, niesłuszny lub wręcz szkodliwy ze społecznego punktu widzenia. Być może nie dorośliśmy po prostu jeszcze do takich potrzeb. Warto jednak wiedzieć, do czego dochodzi już na świecie, jak wielką wagę przypisuje się właściwemu wykorzystaniu każdego człowieka, obsadzeniu go na stanowisku, które ze względów umysłowych, psychicznych i innych, najlepiej mu odpowiada, na którym może być najbardziej pożyteczny dla społeczeństwa.

Kiedyś społecznicy powtarzali za poetką: „Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę". Dziś, gdy postulat powszechności nauczania został w zasadzie zrealizowany, w wielkich miastach nawet w odniesieniu do szkolnictwa średniego, warto pokusić się o trawestację tego zawołania „Pójdź dziecię, ja ci drogę wskażę" — tak powinno brzmieć aktualne hasło ludzi odpowiedzialnych za wychowanie młodych pokoleń. Bez jego pełnej realizacji, trudno sobie wyobrazić właściwe funkcjonowanie nowoczesnego organizmu gospodarczego i społecznego.

PS. Artykuł ten warto opatrzyć garścią uwag praktycznych, na tzw. doraźny użytek. Sądzę, iż nie od rzeczy będzie zaapelować do rodziców tegorocznych siódmoklasistów, by już w tej chwili postarali się wysondować opinię nauczycieli i psychologów, co do przyszłych możliwości dziecka.

Do dyspozycji jest poradnia psychologiczna Kuratorium (mieści się w gmachu MDK, przy ul. Moniuszki) oraz dzielnicowe poradnie społeczno-wychowawcze TPD, które dotychczas zajmowały się przede wszystkim tzw. dziećmi trudnymi, ale na które ostatnie zarządzenie Ministra Oświaty z 15 września br. nakłada również obowiązek udzielania porad z zakresu wyboru zawodu.

Na podstawie doświadczeń psychologów warto również apelować do rodziców o więcej krytycyzmu wobec pozornie niezachwianego wyboru, dokonanego przez syna czy córkę, bowiem motywy takiego wyboru mogą być najzupełniej przypadkowe (fałszywa ambicja, naśladowanie kolegi, kompleksy psychiczne, itp.).

Można chyba również zaryzykować twierdzenie, iż zainteresowanie się przyszłością każdego dziecka, udzielenie mu właściwych informacji, szczera rozmowa z nim na ten temat, powinno stać się już nie tylko obowiązkiem, ale i sprawą sumienia wszystkich nauczycieli — wychowawców.

Tadeusz Kulisiewicz. Karolka. (Drzeworyt).

REPORTAŻ z paragrafem

Na szczęście słowa stanowiące tytuł mego reportażu mają charakter lekko metaforyczny i oznaczają zaledwie zasadę postępowania. Strach pomyśleć co by było gdyby „słowo ciałem się stało".

Ale nie stało się. Toteż salę sądu powiatowego wypełnił imponujący tłum ludzi, całych i zdrowych, chociaż oszukanych. Co nie znaczy, że do sądu stawili się wszyscy. Niektórzy ze świadków wyjechali za granicę, niektórych nie ma wśród żyjących. Ale bądźmy spokojni, ci ostatni zmarli śmiercią zupełnie naturalną.

O cienki dreszcz emocji postarał się za to sam oskarżony. Na szczęście dla niego i dla wymiaru sprawiedliwości samobójcze targnięcie się na własne życie należało do arsenału sposobów, którymi oskarżony dojnie szarżował w postępowaniu z naiwnymi. Toteż społeczeństwo poniosło w tym wypadku tylko bolesną stratę kartki papieru, gdzie obok słów pożegnania z rodziną, już na zawsze, znalazły się takie zwroty: „A to, żeśmy kłamali, to byliśmy do tego zmuszeni, bo nikt by nam nie pożyczył. I niczego się nie bój, nikt Ci nic nie zrobi. Ja karę sam sobie wymierzyłem, nikt by mi jej nie dał, bo pracowałem na same procenty dla ludzi, którzy ze mnie żyłowali każdy grosz". Są w tym testamencie dwie zamierzone czy też niezamierzone, delikatnie mówiąc, nieścisłości. Po pierwsze oskarżony żadnej kary sobie nie wymierzył i nie zamierzał jej sobie wymierzyć. Po wtóre mylił się, że tylko on sam powołany jest do wymierzenia sobie kary. Po trzecie zaś, już najzupełniej świadomie napisał nieprawdę o celu swojej pracy.

Pierwsza nieścisłość sprostowała się sama przez powrót oskarżonego do Łodzi po kilkumiesięcznym ukrywaniu się na Mazurach. O sprostowanie drugiej postarały się wkrótce potem organa prokuratorskie. Kwestią trzecią musiały zająć się wspólnie sąd i prokuratura. Mylił się w końcu oskarżony, że sam ponosi winę za wszystko, co się stało. Przed sądem stanęło małżeństwo: Helena i Wacław Bielicey. Zresztą w toku śledztwa więcej zarzutów zebrano przeciwko kobiecie.

Wbrew pozorom oskarżeni małżonkowie nie byli pierwszymi lepszymi partaczami, jakich sporo do dziś funkcjonuje w naszym kraju. Tym sobie można tłumaczyć, że ich byznes przez 7 lat uchodził za grę najzupełniej uczciwą, aż minęły przewidziane w Biblii lata tłuste i zaczęły się chude. Nowy okres zna mionowało doniesienie do milicji złożone na Bielickich przez byłych sąsiadów. Pokrzywdzeni należeli do gatunku naiwniaków mieszkaniowych i pod pozorem pożyczki zainwestowali w transakcję zamiany lokalu z Bielickimi 10 tys. zł. Na sumę tę otrzymali od Bielickiego weksel wraz z poręczeniem dokonanym również ręką oskarżonego. Prawdziwą gwarancją transakcji miał być jakiś mityczny kuzyn Bielickiego zatrudniony w śródmiejskim kwaterunku. Wkrótce potem Bielicka zażądała dodatkowo 4.800 zł na kaucje i nie otrzymała ich tylko dlatego, że kontrahenci nie mieli już pieniędzy. Gdy minął jeden i drugi termin zapłaty weksla, a kwaterunkowy kuzyn Bielickiego jakoś nie śpieszył się z załatwieniem zamiany, sprawa zaczęła wyglądać podejrzanie. Zwłaszcza, że Bielicey nie otwierali drzwi ani na dzwonki, ani na pukanie. Dopiero wtedy łatwowierni sąsiedzi uprzytomnili sobie, że padli ofiarą oszustwa.

śmierć frajerom

Powoływanie się na znajomości w kwaterunku stało się w ostatnich latach rzeczą tak nagminną, że mogłoby stanowić samoistny rodzaj przestępstwa. I zawsze znajdą się ludzie, którzy chętnie przymykają oczy na wszystkie ostrzeżenia przed oszustami, uważając pewnie, że to tylko „propaganda". Są to ludzie w swym własnym mniemaniu tak doświadczeni, że natychmiast rozróżniają czysty interes od nieczystego. Takich megalomanów potrzebowali małżonkowie Bielicey. I znajdowali. Od kolejnej znajomej pobrali na poczet zamiany mieszkań najpierw 2 tys. zł, a następnie dalszych 5 tys. na postępowanie spadkowe po zmarłym w Anglii bracie Bielickiego. Spadek po bracie jest tutaj momentem dla czytelnika nowym, co wcale nie znaczy, że wyschła złotodajna żyła mieszkaniowa. Bielicka zaproponowała zamianę jeszcze dwóm osobom wyłudzając od jednej 7 tys., od drugiej zaś 12 tys. zł, z czego, gdy poczuła się zagrożona, zwróciła 10 tys.

O ile sprawa zamiany mieszkania stawia oskarżonych w bardzo niekorzystnym świetle, ale też niezbyt ładnie świadczy o kontrahentach, o tyle wyłudzanie różnych kwot na rzekome postępowanie spadkowe świadczy o wyjątkowym cynizmie oskarżonych, gdyż zwrócone było przeciwko ludziom, którzy bezinteresownie chcieli im przyjść z pomocą. Prawdą jest, że brat Bielickiego, lotnik, zginął w Anglii. Prawdą jest również, że w latach pięćdziesiątych matka Bielickiego czyniła starania o wydanie jej spadku po synu. Ale okazało się, że nic jej nie przysługuje. Oskarżony ten mityczny spadek zmaterializował na limuzynę pędzoną ropą o wartości raz to 270 tys., innym razem 230 tys. zł. Czy w tej sytuacji ludzie, do których się zwracał, mogli odmówić pożyczki na opłaty celne?

Jedną z ofiar stał się daleki kuzyn Bielickiego, który zdaje się bezpowrotnie stracił 5 tys. zł. Na sali sądowej kuzyn pocieszył się pewnie, że nie on jeden. Byłego pracownika milicji, emeryta, spadek po lotniku kosztował 24 tys. zł. Staruszek więcej nie posiadał. Potem przyszła kolej na znajomego. Dał na opłaty celne 4.800 zł. Najdotkliwiej jednak została oszukana przez Bielickich pewna rencistka, która sfinansowała spory procent poczynań oskarżonych łącznie na kwotę 50 tys. zł. Na spadek wyłożyła 12 tys. Prócz tego różne sumy, a to na umundurowanie Bielickiego, który był oficerem-pożarnikiem; to na kuzynkę Bielickiej, która uległa katastrofie kolejowej; to wreszcie na pokrycie przez Bielickiego niedoboru w kasie zapomogowo-pożyczkowej. Nie wiemy, czy zdarzenia losowe, na które Bielicey wyłudzili od staruszki dosłownie wszystko łącznie z płaszczem i ubraniami po mężu, miały miejsce w rzeczywistości. W każdym razie zostały odmalowane tak sugestywnie, że staruszka wierzyła. Była zresztą ostatnią osobą, która zgłosiła się do prokuratury po wezwaniu zamieszczonym w „Expressie". Ale to nie wszystko. Prócz tego Bielicka wyłudziła od innych znajomych dodatkowo 1.500 zł „uśmiercając" swą siostrę, na pogrzeb i na wezwanie pomocy lekarskiej do dziecka, które rzekomo wpadło do gorącego kotła. Bielicka jak widać nie była przesądna i nie bała się targnąć na największą świętość.

Ilość ofiarodawców stawia pod znakiem zapytania całą teorię prawa natury w wydaniu Hobbesa. Angielski myśliciel, gdyby mu było dane oglądać proces Bielickich, musiałby chyba odwołać swoją tezę: „Człowiek człowiekowi wilkiem". Jeden wilk nie potwierdza przecież reguły. Nasuwa natomiast myśl, że rzeczywiście są sprawy, o których nie śniło się filozofom.

KONRAD FREJDLICH

Niepokojące zjawisko

Od pewnego czasu w kilku szpitalach powiatowych województwa łódzkiego zaczęto notować wzrost śmiertelności niemowląt. Wkrótce okazało się, że średnia tej śmiertelności jest o wiele wyższa od krajowej. Pod względem ilości zgonów na czoło zaczęły się wysuwać szpitale w Piotrkowie, Rawie Maz., Sieradzu i Skierniewicach. Aby obraz omawianego problemu był jaśniejszy, przytoczmy pewne liczby.

W 1961 roku na 1.000 żywych urodzin wskaźnik śmiertelności w skali krajowej wynosił 54,1, a wskaźnik wojewódzki — 58,6. W roku następnym wspomniany wskaźnik zgonów w naszym województwie zwiększył się do 65,5. Co prawda w 1963 roku zmalał nieznacznie i wynosił 60,2, ale w tym samym czasie średnia krajowa zamykała się liczbą 48,9 zgonów.

Jak sytuacja ta wygląda w tym roku? Otóż w pierwszym kwartale br. na 1.000 żywych urodzin mieliśmy ponad 68 zgonów. W niektórych miejscowościach województwa śmiertelność niemowląt była jeszcze większa. Na przykład w powiecie piotrkowskim na 1.000 urodzin umarło 100 dzieci, a w samym Piotrkowie wskaźnik tej śmiertelności wynosił 98,6. Na podstawie aktualnych danych można powiedzieć, że w drugim kwartale br. śmiertelność ta w województwie nieco zmalała, lecz nadal stanowi poważny problem.

Zbierając materiał do artykułu rozmawialiśmy z wieloma lekarzami różnych specjalności i odwiedziliśmy kilka placówek służby zdrowia. Wysłuchaliśmy też wielu opinii i uwag. Co jest przyczyną tego stanu? **Wiadomo wszak, że każdego roku państwo łoży ogromne sumy na opiekę zdrowotną ludności. Systematycznie wzrasta również liczba lekarzy i podnosi się ich poziom wiedzy fachowej. Poprawiły się, i nadal poprawiają warunki w szpitalach, poradniach ogólnych i wiejskich ośrodkach zdrowia. Gdzie więc tkwi zło?**

Zdaniem wielu specjalistów z dziedziny ginekologii i pediatrii na śmiertelność niemowląt składa się szereg czynników. Rozpatrzmy je po kolei.

Obserwacje wykazują, że w podstawowej większości umierają niemowlęta **w okresie pierwszego miesiąca życia. Ponadto w dużej części niemowlętami tymi są wcześniaki.** Jeśli chodzi o te ostatnie, to medycyna światowa nie zna wszystkich przyczyn ich wcześniejszego przyjścia na świat. Zaledwie w połowie przypadków przyczynę tę można ustalić. W pierwszym rzędzie sprowadza się ona do niedostatecznej opieki lekarskiej nad kobietą ciężarną. Często jest ona wynikiem tego, **że sama kobieta w okresie ciąży w ogóle nie zgłasza się do poradni**, uważając, że jest zupełnie zdrowa, a płód rozwija się normalnie. W piotrkowskim szpitalu podano nam wiele tego rodzaju przykładów. Oto 27-letnia kobieta, która 8 razy była już w ciąży. Posiada bardzo złe warunki mieszkaniowe i bytowe. W czasie ostatniej ciąży ani razu nie była u lekarza. Wydany na świat wcześniak ważył 1.700 g i zmarł.

Oto inny przypadek. 35-letnia pacjentka i 10 ciąża. Dziewięcioro dzieci żyje. W okresie ostatniej ciąży też nie korzystała z poradni „K". Wcześniak zmarł po 3 dniach.

Są również i takie przypadki, kiedy przyszła matka systematycznie odwiedza lekarza, a mimo to rodzi się wcześniak, który umiera. No, ale jeśli — jak to np. było w przypadku pewnej 38-letniej kobiety wcześniak ważył zaledwie 95 dkg, to nie ma się czemu dziwić.

Jeśli już jesteśmy przy sprawach ciąży i profilaktyki warto również dodać, **że często z winy** samej kobiety rodzą się dzieci z różnymi wrodzonymi wadami, które są następnie przyczyną zgonu lub trwałego kalectwa. Przyczyny takiego stanu rzeczy są różne. **Na pierwszym miejscu lekarze wymieniają tu wszelkiego rodzaju dorywcze sposoby i próby przerwania ciąży, które najczęściej zawodzą, ale równocześnie bardzo ujemnie wpływają na dalsze kształtowanie się płodu i jego rozwój.** Dalej to sprawa używania i nadużywania przez kobiety różnych **nie przepisanych** przez lekarza leków, z których pierwsze miejsce zajmują tabletki od bólu głowy. Kwestia dalsza to sprawa picia i **nadużywania alkoholu**, palenia papierosów itp.

Często, a szczególnie na wsi, spotykanym zjawiskiem jest i to, że ciężarna kobieta **wykonuje nadmierną pracę fizyczną niemal do ostatniego dnia ciąży.** To ma także wpływ na jej stan zdrowia oraz na rozwój fizyczny płodu.

Jak więc widzimy istnieje wiele związków przyczynowych między przypadkami śmiertelności wśród niemowląt, a brakiem opieki lekarskiej w okresie ciąży lub po prostu nieprzestrzeganiem zasad higieny i to w szerokim tego słowa znaczeniu.

Zwracaliśmy uwagę na skutki braku opieki lekarskiej w czasie ciąży oraz na znaczenie badań profilaktycznych. Powiedzmy jednak szczerze, że szczególnie na wsi z opieką zdrowotną nie jest tak różowo. Otóż zgodnie z przepisami Ministerstwa Zdrowia, opiekę nad ciężarną kobietą, a później również nad niemowlęciem powinna sprawować położna rejonowa. Te same przepisy mówią, że jeden punkt położniczy powinien obejmować swoim zasięgiem obszar w promieniu do 3 km. Ponadto liczba ludności tego obszaru nie powinna przekroczyć 3 tysięcy osób. W mieście natomiast jeden punkt położniczy powinien przypadać na 8 tysięcy mieszkańców. Tymczasem w ośrodkach wiejskich jeden taki punkt przypada na około 10 tysięcy ludności. Jak wynika z informacji uzyskanych w Wojewódzkim Ośrodku Matki i Dziecka w Łodzi, istnieje sporo wiejskich ośrodków zdrowia, które jeszcze położnych nie posiadają. Aktualnie w całym województwie brak jest 260 punktów położniczych. **Przyczyną tego stanu rzeczy jest w pierwszym rzędzie sprawa braku mieszkań dla położnych.** Wiele osób w rozmowie z nami wysuwało koncepcje, by prezydia gromadzkich rad narodowych tak jak w przypadku nauczycieli były również zobowiązane przydzielać mieszkania położnym. Problem można również rozwiązać w ten sposób, że Prezydia GRN pokrywałyby część kosztów związanych z wynajmowaniem mieszkań przez położne, a szczególnie przez położne młode, które trafiają do ośrodków po ukończeniu szkoły. Jednym słowem rola położnych musi być bardziej doceniana.

Pomijając wszystkie przypadki niedoceniania i zaniedbywania profilaktyki, lekceważenia przez ciężarne kobiety higieny, rodzenia przez nie w domu w antysanitarnych warunkach, trzeba powiedzieć, że umierały także niemowlęta, których matki systematycznie odwiedzały przychodnie i gabinety lekarskie i rodziły w szpitalu. Ponadto dzieci umierały bezpośrednio w szpitalu lub tuż po przywiezieniu do domu.

Umierały w pierwszym rzędzie na skutek epidemii: wirusowego zapalenia płuc i biegunki.

Jak sytuacja ta wygląda obecnie? W wyniku energicznego zajęcia się omawianym problemem przez Wydział Zdrowia Prezydium WRN, analogiczne wydziały niektórych Prezydiów PRN i dyrekcje samych szpitali, dużo się w tym zakresie zmieniło i to zmieniło na lepsze. **Na przykład w piotrkowskim szpitalu oddział noworodków przebudowano, urządzono specjalne pomieszczenie dla wcześniaków, zaostrzono reżim sanitarny i ulepszono samą organizację pracy.** To wszystko spowodowało, że ostatnio w szpitalu tym nie notuje się epidemii, a ogólny stan zdrowia noworodków jest o wiele lepszy niż poprzednio. W innych tego typu placówkach zdrowia również przystąpiono do usuwania zaniedbań. Zwrócono także uwagę na sprawę systematycznego podnoszenia kwalifikacji personelu lekarskiego i pomocniczego.

W batalii o zdrowie i życie najmłodszych obywateli nie pominięto również placówek służby zdrowia lecznictwa otwartego. Ponadto do akcji włączył się Wojewódzki Ośrodek Matki i Dziecka, który m. in. opracował schemat karmienia niemowląt. **Otrzymuje go każda matka.** Z inicjatywy wspomnianego ośrodka wyruszył też w teren tzw. samochód oświaty sanitarnej, z nagraniami specjalnych audycji dotyczących ciąży, niemowląt, higieny.

Artykuł ten nie wyczerpuje całokształtu zagadnienia związanego z problemem śmiertelności wśród niemowląt. Skoncentrowaliśmy się jedynie wokół pewnych spraw, które towarzyszą lub towarzyszyły temu niepokojącemu zjawisku. Reszta spoczywa w rękach samych kobiet, lekarzy i innych zainteresowanych tym problemem osób.

JERZY GLIKSMAN

DWORCE DIABŁÓW I ANIOŁÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

dobrodusznych, na pozór staruszków, też mi znanych z serca Łodzi?

Romantycy...

— Panie doktorze, z więzienia wyszłem, pan doktór pożyczy ze dwa złote. Na bułkę!...

— Nie masz pan, panie młody, papierosika?...

Facet bez palta, w pasiastym, fantastycznie wygniecionym garniturze, z szyją okutaną grubym wełnianym szalikiem, zdybał mnie o dwudziestej pięćdziesiąt w kącie sali pod bufetem, i niepomny na to, co mówił wczoraj, szpikuje mi uszy nowym kłamstwem.

— Żona, panie, w Sochaczewie umiera, a na bilet nie mam... Jak pragnę Chrystusa! Pożycz pan dwie dyszki! Do jutra!

— Kupię panu bilet...

— Eee, bilet... Dychę dam konduktorowi w łapę, a za resztę papierosy. Jak pragnę Boga... jutro oddam!

Odchodzi zawiedziony, zły... Zaraz jednak ruszy do ataku na szpakowatego, przystojnego pana w czarnym palcie. I trafi naiwniaka. Nie ma mowy! Ktoś się w końcu musi złapać: ulitować i... „pożyczyć".

Gdy czas dobijał do północy odmierzany monotonnym głosem spikera, włóczędzy spod baru i cwani żebracy zniknęli nagle z pola widzenia; senny nastrój pogłębił się i stężał. Chłop z twarzą Lancastera i zmiętoszoną cyklistówką w dłoni — zmienia stolik. Siada pod oknem uchylonym na dworzec; bucha nim zimne powietrze i chłop wie teraz, że nie zaśnie. Grubawy jegomość kurczowo zaciskający rękę na uchwycie walizki, zapadł w najgorszy ze snów — kolejowy. Głowa spada mu w dół, cal po calu, w niewielkich odstępach czasu. Przekracza wreszcie granicę niewygody, więc zaspany stawia ją w pozycji wyjściowej...

Żeby nie zasnąć — wyszedłem z restauracji i między długimi rzędami ławek przestronnego korytarza zacząłem spacerować. Było prawie pusto. Nieliczne, skulone z zimna sylwetki wyglądały w mrokach hallu jak skarłowaciałe drzewa. Kobieta z kwilącym niemowlakiem u piersi walczy bezskutecznie ze snem. Dwie młode panienki objęły się rękami i szepczą sobie na ucho bardzo ważne rzeczy; chichoczą przy tym z cicha, niepewnie... Jakaś para zaczyna grę wstępną; on — młody, dumny z białego szalika i brązowego, stębnowanego kwadratami palta, przebojowiec; ona — nieśmiałe i nieźle zawstydzone dziewczynisko, idące za jego słowami, jak mucha na lep. Po kwadransie czują się sami. Przytuleni. On wciąż wygląda, jakby szeptał, ale ciszy poczekalni nie mąci nic.

Pół do pierwszej wszedłem do świetlicy. Ludzie pod ścianami spali, bądź bezmyślnie ślizgali wzrokiem po wiszących lub wymalowanych na ścianach dziełach — pędzli najgenialniejszych realistów. Maszyna Stevensona, pociąg produkcji 1961 r. pod sygnałem zawiadowcy stacji, przypominający kształtem i barwami koszmarną zabawkę dla dzieci, kicz markujący zebranie (spojrzysz i raz na całe życie dosyć masz posiedzeń) oraz narada bojowa żołnierzy (na pierwszym planie — generał).

Ludzie siedzący pośrodku świetlicy — czytali. Albo mi się zdawało. Czternastoletni chłopiec (obecność jego o tej porze musiała mnie dziwić) w przykrótkim granatowym paltociku nerwowo przerzucał kartki barwnych magazynów. Ksiądz młody i rudawy (mój znajomy zwykł mawiać: „Nie ma dworców bez księży") męczył się nad „Przyjaciółką", zaś reszta podróżnych nie miała siły, aby od czasopism odwrócić wzrok.

Z archaicznego radia sączyła się wątłą strużką mętna opowieść klarnetu. Była smutna, przeraźliwie nostalgiczna; tkwiła mi jeszcze w uszach, gdy w oparach mgły i wilgoci czekałem na tramwaj.

2.

Na Fabrycznym byłem pięć po drugiej. Wchodząc wejściem z brzegu, tam gdzie kasy PKS, znalazłem się nagle pośród tysiąca kufrów, wiader i tobołów, worów wypchanych Bóg wie czym i kobiałek, w których z braku światła i powietrza (bowiem zakryte były szczelnie) szamotały się w przypływie wściekłości niesprzedane kury, kaczki, indyki oraz wszelki inny drób.

Na zaimprowizowanych ad hoc posłaniach z derek, kożuchów i palt, z poskładanych w stosy worków, z wiązek słomy — spali w najróżniejszych pozach, spleceni niby stado węży, chłopi, co przybyli do Łodzi na targ. Dokoła nich rozbabrane mury sali, stosy kurzu, wapna, kupki tynku (inne pomieszczenia dworca poddano niedawno remontowi), długi rząd zamkniętych kas (autobusy o tej porze śpią) i cisza, grobowa cisza.

Widok ten — wesoły i smutny — kontrastował jaskrawie z białą koszulą Murzyna przedzierającego się przez trzy sale i wąski hall do świeżo odnowionej, wyłożonej marmurami i białej od świateł restauracji.

Poszedłem za Murzynem.

Buty nasze zgrzytały o posadzkę, zgrzytały głośniki frazami komunikatów — spiker senny miał głos, zmęczony...

Afrykańczyk dotarł do drzwi i zanurzył się w światłach. Nim zrobiłem to samo...

— Ej, ty... panie! — krzyknął ktoś z kąta.

Odwróciłem się i wjechałem oczami na tłustą, bezczelną twarz. Miał na sobie zniszczony, kolejarski uniform i nie wyglądał na komiwojażera. Dwie kobiety — trzymał je, protekcyjnie, za ramiona — buzie miały czytelne.

— Dziękuję uprzejmie — powiedziałem, doznając lekkiego szoku, bowiem w dzień o taką scenę trudno. (Kto, jak kto, ale ludzie tej profesji, gnani są przez milicję z dworców na cztery wiatry).

— A może pociągniesz pan w oko?

— Na pieniądze ? — spytałem naiwnie.

— No a jak! Coś pan myślał — za frajer?!...

Czując, że niełatwo się odczepi skrzywiłem sprytnie twarz i odpaliłem:

— Nie mam dziś szmalcu, proszę pana, ale tak jutro, o tej porze, bardzo chętnie...

Wchodząc do restauracji dostrzegłem w pobliżu Murzyna — trzech panów grających w numerki. Zacząłem wówczas myśleć o hazardzie „dziewiątym wale" (walarze młócą naiwnych przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Meliny ich leżą przy Piotrkowskiej. Milionów nie wygrywają, ale na wódkę starczy. Na dużą wódkę śledzia. Toteż spotkasz ich w „Casanovie" i „Śródmiejskiej", spotkasz w „Smakoszu". Tam, w czasie zasłużonego odpoczynku, wykańczają się wzajem w numerki), o pokerzystach z wielu szacownych klubów Łodzi, o licznych grupach adeptów (obszarpanych nastolatków) wagarujących ze szkół i fabryk, by na skwerach i w parkach oddawać się grze w durnia, oczko i tysiąca, by za cenę ciężko zarobionych lub z trudem wyłudzonych pieniędzy, nauczyć się tego i owego od starszych kolegów; by przegrać, ale nabrać wprawy. O dystyngowanych, czyściuteńkich emerytach z Akademickiej, walczących o forsę w domino. (Czasem taki staruszek łezkę z oka otrze — na kawę już nie ma, jest mu przykro. Czasem znowu na kawę zarobi. I na szarlotkę. Grubo zazwyczaj nie gra; po dwadzieścia zetów od partii i dziesięć grosików od punktu).

Ci na Dworcu Fabrycznym też nie grają grubo. Numery łapią z setek, ale z rąk do rąk przechodzą dwudziestki. O dyskrecję prawie nie dbają — bufetowa jest senna, kelnerzy drzemią przy stolikach, a niebieski mundur milicjanta roztopił się przed chwilą w lepkiej mgle.

Przyznać trzeba — pomyślałem, a biła właśnie czwarta i sen mi ściągał powieki — że odkąd przy bufecie nie sprzedają piwa, noce na Fabrycznym są spokojne. Zakaz handlowania tym płynem obowiązuje od godziny dwudziestej do szóstej rano. Jak zdążyłem zauważyć — jest przestrzegany. (Liczne, bezczelne prośby — groźby piwoszów zbywała barmanka pogardliwym kręceniem głowy). Skacowani bywalcy łódzkich knajp muszą jeździć na Kaliski, lub na Fabrycznym żłopać oranżadę.

Żłopią! Byle nie rozstać się z nocą. Byle nie rozstać się z dworcem — kochają go strasznie; nie ma bez niego życia, nie ma radości... Zrośli się z nim, jak pewien wiecznie pijany tancerz (były tancerz) ze Spatifem — siedzi tam od rana do rana, a gdy Spatif zamknięty — choruje.

Ilu takich może być na sali? Pięciu, dziesięciu?... I jak ich poznać?...

Po tym, że są bez walizek i tobołów, po tym, że nigdy nie patrzą na zegarki, po czerwonych od pijaństwa oczach, spoconych twarzach, petach zrośniętych z ustami, po nienaturalnym ożywieniu, które fałszem zagrywa z obojętnością i znieruchomiałym wzrokiem rzeczywistych podróżnych.

O pół do piątej przy jednym ze stolików wybucha ostra sprzeczka. Barczysty Janek z Kolejniaka szarpie się z narzeczoną. Podjudza sprytnie ten trzeci. Poszło — jeśli dobrze słyszałem — o szczegóły związane z weselem młodej pary. On był za tangami i walcem, ona — nie od tego, żeby tańczyć twista. On proponował zespół Zenka, ona zaś wolała Romka. Kłócą się, szarpią, przeklinają... i raptem jakiś kulawy kompromis przynosi zwaśnionym zgodę...

Do śpiącego przy stole staruszka (nie zakrył — jak inni — twarzy gazetą, a oparł ją o blat stolika) podskakuje roześmiany cwaniak ze śródmieścia.

— Eee, kłosie, tu spać nie wolno!

— No już, jazda! — wtóruje cwaniakowi kelner. Wymachując nad staruszkiem serwetką wypycha go za drzwi. — Nie będziesz tu siedział całą noc!

Czuję, że zasypiam z otwartymi oczami, aby nie odegrać podobnej sceny — wychodzę.

W poczekalni jest dość luźno i miejsce znajduję bez trudu. Widzę, że dwie ławki dalej młoda, rozeźlona chłopka okłada kułakiem główkę pięcioletniego malca. Chłopak próbuje płakać, ale sen jest mocniejszy.

— Sen jest strasznie mocny — pomyślałem. I przestałem słyszeć głos spikera skandujący słowa.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Fot. Witold Zarzycki

LISTY do REDAKCJI

W TONACJI PESYMISTYCZNEJ

Chciałabym przesłać parę zdań w związku z artykułem „Czy oni musieli przez to przejść?" — Krótko — tak. Innego wyjścia nie ma, aby młodzież ze szkół peryferyjnych przekonać, że mimo otrzymania matury jest nie na poziomie, nie przygotowana do studiów wyższych. Mam na myśli konkretną klasę, której przed rokiem byłam wychowawczynią. W VIII klasie skompletowano młodzież z sierpniowych egzaminów — rok szkolny 1960—61. Było ich w klasie 52. Do klasy IX doszło około 30. Część repetowała, część odeszła do techników, kilkoro do szkół zasadniczych. 2 uczennice w ciągu roku wróciły na wieś. W IX znowu był odsiew, ale już w granicach rozsądnych. Klasę X oceniono jako „beztalencie". Na godzinach wychowawczych zaczęłam omawiać sprawę wyboru zawodu. To samo zagadnienie na konferencji z rodzicami poruszyłam już we wrześniu. Tłumaczyłam, że młodzież jest pozbawiona horyzontów myślowych, że jest infantylna, że nie tylko jest słaba, ale i leniwa. Czy Pan zdaje sobie sprawę, jaki talent dyplomatyczny musi mieć nauczyciel, aby to rodzicom powiedzieć, a nikogo nie urazić?

Na ostatniej wywiadówce rodzice stwierdzili, że ja się za bardzo przejmuję moją klasą. Z końcem roku odeszłam na emeryturę, a klasa po odsiewie znalazła się w XI. Czy kogoś przekonałam, że musi się staranniej uczyć? Tylko jeden uczeń systematycznie podnosił swój poziom, stale miał wyniki dobre. Inni, aby na trójkę. I dlatego w sierpniu tego roku daremnie przeglądałam listy przed Uniwersytetem. 2 uczennice nie zdały, a reszta już na piśmiennym przekonała się, że to nie dla nich. Rozmawiałam z jednym ojcem — nie posiadał się z oburzenia, że tylko protekcja potrzebna jest na studia, a on jej nie miał. Komentarzy to nie wymaga. Jakie wyniki mieli chłopcy na Politechnice? Zdał tylko jeden.

Czy zawsze miałam taki słaby zespół młodzieży? Nie! Ale po raz pierwszy tak zarozumiały. Młodzież peryferyjna często przybiera taki „fason" — „nic się nie uczyłem i maturę mam". „Do egzaminu na uczelnię też się nie uczyłem, zdałem, oczywiście!" A najgorzej, że pewien procent w to wierzy. I ci przyjdą na egzamin wstępny i dziwią się, że nic nie pomogło — ani uroda, ani szpilki... Tak więc, Panie Redaktorze, ta młodzież musiała przez sito egzaminu przejść, bo nic nie broni uczelni przed zalewem „powołanych". Oni nawet nie rozumieją, że studiować mogą tylko „wybrani".

Załączam pozdrowienia

HALINA ŚWIETLIŃSKA

OD REDAKCJI: Te gorzkie słowa nie tłumaczą, dlaczego młodzież jest tak powierzchownie i nierzeczowo oceniana w szkolnych charakterystykach służbowych.

SPEKTAKLE tygodnia

TEATR

NOWY — „Wicek i Wacek" 8 spektakli	4.900	„	— 90%
„Pan Geldhab" 11 spektakli	6.500	„	— 80%
NOWY MAŁA SALA — „Garść piasku" 8 spektakli	1.400	„	— 90%
— „Całe życie" 4 spektakle	700	„	— 90%
JARACZA — „Wassa Żeleznowa" 15 spektakli	7.000	„	— 70%
„Ania z Zielonego Wzgórza" 14 spektakli	9.000	„	— 95%
POWSZECHNY — „Piosenka prawdę ci powie" 9 spektakli	6.012	„	— 99%
„Ktoś nowy" 7 spektakli	4.455	„	— 95%
7.15 — „Pani Prezesowa" 21 spektakli	9.534	„	— 98%
— „Porwanie Sabinek" 4 spektakle	1.754	„	— 100%
— „Fik i Mik w Zaczarowanej Zatoce" 3 spektakle	1.310	„	— 100%

IWAN BUNIN

SNY

Iwan Bunin (1870—1953) laureat nagrody Nobla, jest jednym z najwybitniejszych pisarzy rosyjskich. Jego poezję i prozę bardzo wysoko ocenił Maksym Gorki. „Uczcie się u takich mistrzów słowa jak Puszkin, Gogol, Lew Tołstoj, Czechow, Bunin" — radził Gorki początkującym pisarzom.

W 1957 roku nakładem „Czytelnika" ukazał się u nas tom opowiadań pt. „Czara życia". Opowiadanie „Sny" pochodzi ze zbioru „Pan z San Francisco" opublikowanego w Moskwie w 1959 r.

W polu było zimno, mgła i wiatr. Wcześnie zapadał zmierzch. Słabo świeciły lampy i mocno pachniało naftą na naszej prowincjonalnej, pustej stacji. W poczekalni trzeciej klasy, na ławie, przykryty kożuchem, spał stróż. Poszedłem do swojej poczekalni. Słuchałem jak w półmroku wolno stuka ścienny zegar. Na stole stała karafka z pożółkłą, zeszłoroczna woda. Położyłem się na wytartej pluszowej kanapie i natychmiast zasnąłem, zmęczony podróżą, w deszcz i śnieg. Wydawało mi się że spałem dość długo, ale kiedy otworzyłem oczy, zmartwiłem się, bo zegar pokazywał zaledwie w pół do siódmej.

„I zbliżył się tamten dzień do ciemnych, jesiennych nocy" — przypomniało mi się pełne smutku zdanie, pochodzące z jakiejś starej rosyjskiej książki:

Było zimno i cicho jak przedtem, tak samo czernił się za oknami mrok...

Kiedy zegar niepewnie, jakby zastanawiając się, wybił ósmą, gdzieś w pobliżu zaskrzypiały i głośno trzasnęły drzwi, a na peronie załośnie zajęczał dzwonek. Wszedłem do poczekalni trzeciej klasy i zobaczyłem mieszczanina, który z łokciami wspartymi o kolana i z głową w dłoniach, nieruchomo siedział na ławce.

— Pociąg odjechał? — spytałem.

Mieszczanin drgnął i spojrzał na mnie z przerażeniem. Potem mruknął coś, spochmurniał i szybko odszedł w stronę drzwi wiodących na peron.

— Żona mu przy porodzie umiera — powiedział stróż. Siedział teraz na ławie i z kawałka gazety skręcał papierosa. — Tak to już jest, każdy ma swoje zmartwienie — dodał z roztargnieniem i nagle ziewnął przeciągle, ożywił się i z niezrozumiałą radością powiedział:

— No i ożenił się z bogatą! Drugi dzień się męczy. Nawet bramę cesarską w cerkwi otworzyli, ale nic nie pomaga. Teraz po lekarza do miasta jedzie. A po co?

— Myślisz, że nie zdąży?

— Chyba, że nie! — odpowiedział stróż. — Wróci jutro pod wieczór, a ona do tego czasu umrze. Na pewno umrze. Trzy razy, powiada, wróżył kto pierwej umrze, on czy żona i trzy razy wychodziło to samo. Ona pierw... Jak to tak? „Na nic zamiary swoje na przyszłość rozkładać", a potem jeszcze gorzej: „Módl się, nie pij wina i piwa: gotuj się do klasztoru". A wczoraj, powiada, widział sen: wygolili go i wszystkie zęby wyjęli.

Długo by tak jeszcze mówił, gdyby nie szum zbliżającego się towarowego pociągu. Znowu skrzypnęły i zajęczały wejściowe drzwi, wszedł konduktor w ciężkim, mokrym płaszczu, z oderwaną z tyłu patką, a za nim smarownik z zakopconą latarnią w ręku... Wyszedłem na peron.

Długo chodziłem w mroku nasyconym wiatrem i wilgocią. Wreszcie, potrząsając dzwoniącymi szynami, zapłonął we mgle ogromnymi, czerwonymi oczyma parowóz osobowego pociągu. Wsiadłem do prawie ciemnego, ciepłego i cuchnącego wagonu, wypełnionego śpiącymi. I dopiero kiedy pociąg ruszył, udało mi się znaleźć wolne miejsce w kącie koło drzwi prowadzących do drugiego przedziału. W rozkołysanym półmroku, na ławkach i na rozłożonych oparciach, porozrzucani, leżeli ludzie. Pod podłogą huczały koła. Zamykając oczy nie wiedziałem w którą stronę wiezie mnie pociąg. Palacz, podobny do Murzyna, przeszedł obok i nie zamknął drzwi. Usłyszałem gwar, zapachniało tytoniem... Mieszczanin, który jechał do miasta po lekarza, siedział i palił z ponurym, skupionym wyrazem twarzy, na końcu czwartej ławki przy czyichś nogach. Przy otwartych drzwiach tuż obok mnie w zadymionym półmroku pod latarnią, stłoczeni chłopi palili i słuchali, co mówił ktoś siedzący naprzeciwko.

— Ta-ak, bracia moi — usłyszałem poprzez szum pędzącego pociągu. — Ta-ak. I trafił do tej nieszczęsnej wsi staruszek, pop z Epifanii. Przenieśli go, znaczy się, z miasta do najbiedniejszej parafii, a za co przenieśli? — pił dużo... Znaczy się i przenieśli, jakby za karę. A staruszek pić to on pił, ale okazał się takim, że lepszego nie znajdziesz. „Ile, ojcze Piotrze, za chrzciny i za pogrzeb bierzecie?" „To nie ja, skarbie, to potrzeba bierze! Wszystkie siły twoje..." I tak było zawsze. Przenieśli go, znaczy się, na wiosnę, lato jeszcze przeżył, a na jesieni już go zmogło. Miał swoje lata, chyba dlatego, albo się przeziębił. Sami wiecie jakie było lato tego roku. A on był coraz słabszy. I tak, bracia, widocznie coś przeczuł, bo wyszedł po mszy do ludu i pożegnał się ze wszystkimi: „Chyba — powiada — niebawem stanę przed Panem, wierni moi — przebaczcie mi jeżeli czymś zgrzeszyłem..." I powiedziawszy to ukłonił się i przeszedł za ołtarz. Przyszedł do domu, usiadł, żeby zjeść obiad, ale nic nie jadł, tylko łyżką pomieszał, wstał i mówi do stróża, który u niego był zamiast sługi: „Trochę mi — powiada — zimno i jakoś smutno, i sił nie mam. Córka moja nieboszczka ciągle mi się wspomina, jakby czekała na mnie... Sprzątnij — powiada — ze stołu, nie do jedzenia mi teraz". „Nie trzeba tak mówić, ojcze — stróż do niego — nie trzeba. Jeszcze nie czas na was". „Nie — powiada — umrę! Tylko nieszczęścia wszędzie pełno i czy nigdy to się nie zmieni?" A na dworze nie lepiej niż teraz, leje i noc się zbliża. Popatrzył staruszek przez okno, machnął raczką i poszedł do swojej sypialni. Poprawił kaganek i położył się na godzinkę. Ni to spał ni to drzemał i noc już na dworze, a on wciąż leży i leży...

— A to ci dopiero — powiedział ktoś z głębokim westchnieniem. — Mówisz, ludzie wiedzą o tym?

— Przecie mówi, że wiedzą! — ponuro, ochrypłym głosem przerwał wielki, rudy chłop o złych oczach i w podartym krótkim kożuchu, siedzący na ławce naprzeciwko opowiadającego.

— Wiedzą, wiedzą! — potwierdził ten i ciągnął dalej. — Był wieczór. Poszedł, powiadam do swojej sypialni i położył się... Ta-ak. Poszedł i leży i tak się ugrzał, że nawet nie może wstać, pomodlić się i zasnąć jak trza. Leże, powiada, patrzę na kaganek i nagle widzę: cichuteńko otwierają się drzwi i wchodzi moja nieboszczka córka. „Co jest — myślę sobie — co za przywidzenie, Boże!" A ona idzie wprost do mnie i kładzie mi rękę na mojej ręce. Cała na czarno, a twarz biała, biała i piękna! I cicho: „Wstań — powiada — ojczulku, idź prędko do cerkwi." Wtedy ja r-raz z łóżka, a jej już nie ma! Siedzę ja siedzę, a im dłużej siedzę, tym większy strach mnie ogarnia. Wreszcie zerwałem się, chwyciłem klucze od cerkwi, narzuciłem kożuszek i wybiegłem do sieni... Ciemno, strach, sień aż huczy pod burzą. Nie, myślę sobie, trza iść! Idę pod górę, dochodzę do cerkwi, patrzę, a tam płomyk się chwieje jakby nieboszczyka na noc zostawili. Znowu dziwnie mi się zrobiło, jednak przeżegnałem się i do kruchty. Ledwo kluczem do zamka trafiłem. Otwieram drzwi — nie ma żadnego nieboszczyka, tylko świeczka pali się nad bramą cesarską. Któż to, myślę sobie, ja tu taj zapalił, co się dzieje? Stoję półżywy, nagle — r-raz! — odsunęła się zasłona, cicho otwierają się na oścież drzwi i wychodzi z wnętrza, znaczy się z ołtarza, olbrzymi czerwony kokot. Wyszedł, przystanął, zatrzepotał skrzydłami i jak nie krzyknie na całą cerkiew: ku-ku-ry-ku! Zapiał trzy razy i zniknął. Jak tylko, znaczy się, zniknął, wychodzi z ołtarza drugi biały jak piana i zapiał głośniej niż tamten. Też trzy razy... A mnie, opowiadał rano duchowny, ręce i nogi odmówiły posłuszeństwa, stoję i czekam co będzie dalej, a dalej wychodzi trzeci: czarny jak głownia, tylko grzebyk mu się świeci. I zapiał tak strasznie, że upadłem na kolana i zacząłem się modlić aż w całej cerkwi było słychać: „Niech zmartwychwstanie Bóg i niech sczezną wrogowie jego!" Kiedy to powiedziałem zniknęło wszystko, patrzę, a przede mną stoi siwiuteńki mniszek i mówi cichym głosem: „Nie lękaj się sługo Boży, i ogłoś wszystkim ludziom co oznacza twoje widzenie. A oznacza ono wielkie sprawy!"

— Dlatego takich jak ty nazywają bałwochwalcami, siła nieczysta — głośno powiedział mieszczanin otwierając oczy i robiąc groźną minę. — Noc, nuda, a on wykorzystuje to i bzdury ludziom opowiada! Powiedz no, po co ty to robisz, co?

— Przecie ja nic złego — wymamrotał opowiadający.

— Czekaj no, skąd ty o tym wiesz?

— Jak to skąd? Sam pop, powiadają mówił.

— Pop umarł — przerwał mieszczanin.

— To prawda, prawda... Umarł... nagle...

— No i obszczekują go, no i gadają, co tylko ślina na język przyniesie. Przecie to sny. Pała zakuta!

— A ja o czym? Przecie wiadomo, że sny.

— No to milcz — mruknął mieszczanin. — A palić też mogliby'ście przestać. Nadymili jak w wędzarni!

— Jak się nie podoba to idź do pierwszej klasy — ze złością zachrypiał rudy chłop.

— Poszczekaj jeszcze!

— Szczekają psy i takie jak ty!

— Dajta spokój — krzyknęli zaniepokojeni chłopi.

Kłócący się umilkli i w wagonie przez chwilę było zupełnie cicho.

— Ale ścierwa, Boże! — westchnął mieszczanin. Powiedział to tak jakby sam był w przedziale.

I znów zapanowała cisza z głuchym mruczeniem kół, chrapaniem i oddechem śpiących.

— Po co się kłócić? — spytał opowiadający, kiedy wszyscy umilkli. — A kto pierwszy zaczął? Tyś Myśmy sobie tylko tak gadali...

— Do diabła! — rzucił mieszczanin. W jego głosie zabrzmiało cierpienie. — Noc te raz, nuda, a u mnie może żona umiera i dziecko. Zrozum!

— Inni też mają zmartwienie nie mniejsze — powiedział rudy.

— Nie mniejsze! — z rozdrażnieniem powtórzył mieszczanin. — Na lekarza nawet tysiąca bym nie pożałował, a to niego sto wiorst i droga — ni przejść ni przejechać! Wczoraj byłem taki zmordowany, że padłem na łóżko jak stałem i widzę — jakby mnie wygolili i wszystkie zęby wyjęli! No jak, przyjemnie?

— Aha! — powiedział rudy. — Nareszcie zmiękł! A to — widzę-enie senne!

— Kto ma bilety do Turowki — krzyknął konduktor przechodząc.

Oświetlił latarnią czyjeś nogi i wyszedł zatrzaskując drzwi.

Wstałem, otworzyłem je i stanąłem w przejściu.

Mieszczanin siedział, spał, pochylony, a rudy chłop ze zmarszczonym czołem mówił do tego, który opowiadał:

— No i co? Co dalej?

Kilka kożuchów stłoczyło się dokoła, skupione oczy błyszczały w zadymionym półmroku głucho dudniącego i pędzącego wagonu. Opowiadający westchnął i już chciał zacząć ale w tym momencie rudy spojrzał na mnie i spytał ochrypłym głosem.

— A ty, panie, czego chcesz?

— Chciałem posłuchać.

— Nie dla panów chłopskie opowieści.

— Ta-ak, bracia moi — ciągnął dalej opowiadający, kiedy już odszedłem — i stanął przed nim siwiuteńki mniszek i mówi cichym głosem: „Nie lękaj się, sługo Boży, i ogłoś wszystkim ludziom co oznacza twoje widzenie. A oznacza ono wielkie sprawy..."

Mówił coraz ciszej. Nasłuchiwałem, ale wszystko tonęło w drganiu kół i w chrapaniu śpiących.

Słysząc daleki jęczący gwizd parowozu dojeżdżającego do stacji, siedzący obok mnie junkier zerwał się z ławki. Zatoczył dokoła błędnym wzrokiem i znowu usiadł. Oparł się o swój kuferek i zasnął. Jakaś starsza kobieta w ciemnej, perkalowej sukience wstała z grymasem bólu na twarzy i chwiejąc się wyszła z przedziału. Ciała śpiących, worki, kufry i kożuchy tworzyły smutny obraz, który chwiał się przede mną. Opowiadający o kogutach chłop siedział pochylony w stronę rudego i mówił coś cicho z ożywieniem. Z zadymionego półmroku nie dobiegało do mnie żadne słowo, widziałem tylko skupione i złe oczy.

Przełożył: **ROMAN GORZELSKI**

Rys. A. Jeżowski

EDUARDAS MIEŻEŁAJTIS

Oda

Oda czarnym cięciwom jej brwi —
strzały spojrzeń po brzechwy tkwią w sercu.

Oda piersi jej marmurom jasnym —
bębny kolumn skierowane w zenit.

Oda strudze falistej jej włosów —
słońce po nich żegluje jak skiff.

Oda słońcu krwawemu jej warg,
które perły zębów zaróżawia

(Słońcu smutno — namiot karminowy,
uśmiechnięte — zęby-cumulusy).

Oda czołu jej — lotos, pamiętasz?
i jej uszom — jak konchy żeglarek.

Oda strunom głosowym — szum fali,
lasu poszept i zaśpiew ptaszęcy.

Oda ciału... Jak błonie kwietniowe
pachnie miętą, fiołkami, stokrocią...

Oda ciału cudnemu, albowiem
wiersz powiada o dziewczęcym ciele...

Na kolanach je chwalę, w uścisku,
upalnego słońca w nim szukając,

I do miodu przypadam, do ust jej,
I złakniony pragnienie z nich gaszę...

Chwalę ciało — bo takie jak u niej
wiernie ziemi odbija urodę.

Jest mi drogie — jak ziemia maleńka,
ze źródłami, chaszczami, nowizną.

Piękno więdnie, gdy słowem potrącić,
lecz jej piękno nie więdnie pod słowem.

Oto biorę jej ciało na ręce...
grzech — to zbożna powinność człowieka.

Jam — za grzechem, gdy ziarno dojrzałe
wsiane w ciało niby w glebę — szczodrze,

I nie znoszę, kiedy jary zasiew
siewca ciska na swawolny wiatr.

Jam — za plonem miłości bogatej,
pożądaniem ciała i światła,

Jam — za taką miłością, o jakiej
nie pisali nigdy poeci.

(z tomu „Kardiogramy" — Sowietskij Pisatiel — 1963)

przeł. TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

RILKE

„Sonety do Orfeusza", 1961. „Elegie duinejskie", 1962. „Poezje wybrane", 1964. Mieczysław Jastrun w przeciągu czterech lat przyswoił polszczyźnie najważniejsze teksty Rainera Marii Rilke'go. Dokonał wielkiego i pięknego dzieła. Wielkiego i pięknego, cokolwiek byśmy o przekładach, które wyszły spod pióra znakomitego poety, powiedzieli. Cokolwiek byśmy powiedzieli o metodzie tłumacza, o modelu, stworzonym przez tłumacza. O modelu. Słowo to wydaje mi się stosowne. Tłumacz nie prezentuje tłumaczonego przez siebie poety. Daniel Naborowski, tłumacząc w wieku XVII sonety Petrarki, nie prezentował — nie zamierzał nawet prezentować — włoskiego poety polskim czytelnikom. Adam Mickiewicz, tłumacząc w XIX wieku wiersze Szyllera, nie prezentował niemieckiego poety. Pisał tytuł, powiedzmy, „Amalia", a pod tytułem pisał w nawiasie „z Szyllera", a pod informacją w nawiasie zapisywał polski, z Szyllera, wiersz. Tłumacz nie prezentuje. Tłumacz rekonstruuje, konstytuuje na nowo, z elementów wizji, zapisanych w obcym języku, stwarza wizję w swoim języku, nową i jeszcze nieznaną. Stwarza — z owych elementów — model tłumaczonego przez siebie poety. Włada innym, niż ów poeta, językiem. Określany jest przez inne struktury językowe, kulturowe, społeczne. Dysponuje inną, niż poeta tłumaczony, wizją świata. Nawet jeśli pragnie być wierny, nawet jeśli pragnie prezentować tłumaczonego przez siebie poetę, przekazuje nam ostatecznie swoją wizję owego poety, wizję, która będzie się różnić od wizji innych tłumaczy. Moglibyśmy więc powiedzieć: kreuje nowego, nieznanego poetę. Powiedzmy ostrożniej: rekreuje świat, niegdyś w innym języku zaistniały, buduje model tego świata. Podobnie postępuje historyk literatury: pisząc o poecie, parafrazuje jego wiersze, by zbudować model tych wierszy, model prądu literackiego, model epoki.

Kto pragnie poznać poetę, winien więc — prawda całkiem banalna — czytać jego teksty w oryginale. Znajomość języków obcych jest, choć to może i przykre, niezbędna nie tylko ludziom piszącym wiersze — do pisania wierszy nie warto się nawet zabierać, nie znając podstawowych języków europejskich — ale i ludziom, lubiącym czytać wiersze. Czytając Rilke'go po polsku, musimy więc pamiętać, że nie czytamy Rilke'go. Musimy pamiętać, że nie poznajemy Rilke'go. Poznajemy model, stworzony przez tłumacza. Modeli Rilke'go jest w polszczyźnie wiele. Stwarzali te modele różni tłumacze. Model, stworzony przez Mieczysława Jastruna, zdaje mi się być najbogatszy i najciekawszy. Nie tylko dlatego, że Jastrun tłumaczył Rilke'go z wielką i widoczną miłością. Nie tylko dlatego, że przetłumaczył tak wiele tekstów. Bynajmniej nie dlatego. Przede wszystkim dlatego, że model ten pozwala nam mówić o Mieczysławie Jastrunie. O źródłach poezji autora „Sezonu w Alpach". O próbach stworzenia w polszczyźnie nowych struktur dźwiękowych i nowych pól semantycznych.

Model Rilke'go, ofiarowany nam przez Jastruna, różni się całkowicie od modelu, który przedstawił nam niegdyś Julian Przyboś. Przyboś pragnął tłumaczyć Rilke'go możliwie najwierniej. „Trzeba zaś — pisał we wstępie do „Poezji" Rilke'go (1959) — najwierniej oddać obraz i myśl". Ale wzgardził jednocześnie filozofią i symboliką Rilke'go uznał, że filozofia ta jest mętną spekulacją mistyczną, godną co najwyżej wzruszenia ramion. Pogardziwszy możliwością zrozumienia symboliki autora „Sonetów do Orfeusza", Przyboś stworzył całkowicie fikcyjny model Rilke'go. Nie jest to zarzut. Model może być — a nawet nie tyle może, ile zawsze w mniejszym lub większym stopniu jest — fikcyjny. A model, stworzony przez autora „Najmniej słów", może wydać się komuś interesujący, bo mówi wiele o poezji Juliana Przybosia.

Jastrun również, jak się zdaje, pragnął tłumaczyć Rilke'go możliwie najwierniej. Ale zrobił wiele — potwierdzają to i teksty, i wstępy do trzech wydanych tomów — by odczytać symbolikę tekstów i by nadać owym tekstom stosowne w polszczyźnie znaczenie. Tłumacząc, pragnął zrozumieć. Chyba także swój świat poetycki.

Nie wiem, czy model zaproponowany przez Jastruna, jest lepszy od modelu Przybosia. Nie wiem, czy model może być lepszy. Gdyby miarą wartości modelu była wierność wobec tłumaczonego poety, moglibyśmy stwierdzić, porównując teksty oryginalne z tłumaczeniami, czy model Jastruna jest lepszy od modelu Przybosia. Ale wierność nie jest miarą wartości modelu. Model Jastruna nie jest więc ani lepszy ani gorszy od innych modeli. Jest mi jednak bliższy. Jest mi bliższy, bo dzięki niemu mogę zrozumieć lepiej wiersze Jastruna, bo wracając, po lekturze przekładów z Rilke'go, do „Sezonu w Alpach", czytam lepiej, odczytuję więcej. Model Rilke'go, stworzony przez Przybosia, jest dla mnie bez znaczenia. Nie pragnę bowiem zrozumieć wierszy Juliana Przybosia.

Jankiel Adler: Młody robotnik.

O pożytkach z KLASYKÓW

Kino Dobrych Widzów

Różne znaki wskazują, że sieć tak zwanych Kin Dobrych Filmów (nazywanych również — rzadziej — Kinami Studyjnymi), które rozpowszechniają filmy bardziej ambitne, mniej zaś rozrywkowe, niż ta większość, którą można obejrzeć w innych kinach — ta sieć, dotąd właściwie symboliczna (jedno kino w Warszawie, jedno w Łodzi, inne, również pojedyncze, tu i ówdzie) ma przed sobą szanse szybkiego rozwoju; ku temu zmierzają organizacyjne posunięcia kierownictwa kinematografii i różnych szczebli administracji. Z punktu widzenia kultury filmowej dobrze więc się dzieje.

Natomiast sama nazwa, szyld tego ważnego dla kultury ruchu (choć już zapewne nie da się zmienić) jest — przepraszam — groteskowo nonsensowny. Kino Dobrych Filmów? Czyż więc w innych kinach, w tysiącach kin wyświetlane są tylko filmy niedobre?

Wydaje mi się, że zasadnicza różnica między zwykłym kinem, a kinem „wyższego, ważniejszego szczebla" polega nie tylko na tym, co dzieje się na ekranie tego kina, lecz także (jeśli nie przede wszystkim) na tym, co dzieje się na jego widowni. Chodzi bowiem o Kina Dobrych Widzów — takich — kinomanów, którym nie wystarcza miękki fotel i ruch na ekranie, lecz domagają się, aby ten ruch zawierał w sobie porcję wzruszenia i porcję refleksji, po prostu sztukę, a nie tylko prezentował sprawny wyrób przemysłowy (takich filmów, również potrzebnych, są tysiące; rzeczywistych dzieł artystycznych, optymistycznie licząc, dziesięciokrotnie mniej).

Repertuar Kin Dobrych Filmów (tak je już będę nazywał, trudno) ma być tworzony w oparciu o repertuar wszystkich kin; ma zawierać w sobie filmy najtrudniejsze w odbiorze i z wielu względów najcenniejsze: społecznie, artystycznie, poznawczo. Myślę, że krytyka filmowa najlepszymi filmami w repertuarze i tak się dość obficie zajmuje, w tej sprawie rosnąca (oby szybko!) ilość Kin Dobrych Filmów nie przyniesie zmian zasadniczych; myślę także, że wobec tego warto niekiedy zająć się bliżej nie samymi filmami, lecz tym, co dzieje się między ekranem, a widownią; sposobem odbioru filmów, refleksjami na ten temat, własnymi skojarzeniami, pochwałami i naganami. W końcu, choć sprawami Filmu, zajmuję się od dość dawna, jestem i nie przestanę być widzem, który także czegoś chce od filmów, które ogląda: jedne lubi, inne mniej... Chciałbym, pisując na łamach „Odgłosów" o sprawach filmu (co będę czynił częściej, niż dotąd) móc się z Czytelnikami pokłócić raczej, niż zdobywać jednobrzmiącą aprobatę; współczesna sztuka filmowa jest bowiem dziedziną bardzo dynamiczną i bardzo sporną (jedno i drugie: na szczęście!)

Opowiedziano mi niegdyś taką anegdotę: Pewien Amerykanin pyta swego przyjaciela: — Czy znasz już nową powieść X-a? — Nie. — To się pośpiesz, przeczytaj, przecież ta książka wyszła już trzy tygodnie temu... Na to ów przyjaciel: — A ty znasz „Iliadę" Homera? — Nie. — To się pośpiesz, przeczytaj, przecież ta książka ma już dwa tysiące siedemset lat...

Źródłem uśmiechu w tej anegdocie jest słuszne przekonanie, że wartości literatury nie tylko nie mierzy się jej nowością, nawet raczej przeciwnie. Za prymitywny wypada uznać argument: czytajcie, bo to nowe. Nie o to, a w każdym razie nie tylko o to chodzi.

Dzieła klasyków literatury czyta się w szkole. Dzieła klasyków sztuki filmowej oglądają tylko specjaliści i szczególni maniacy, zwykła publiczność kinowa ma okazję czynić to raczej rzadko. Powtórne wypuszczanie na ekrany dawnych filmów jest obyczajem dość nowym — prześledzenie losów choćby kilku takich filmów na ekranach prowadzi do ciekawych wniosków.

Oto wciąż jest u nas masowo oglądana udźwiękowiona wersja „Pancernika Potiomkina" Eisensteina. Oto „Przeminęło z wiatrem", film, którego premiera w Polsce odbyła się w ćwierć wieku po prapremierze okazał się jednym z wielkich sukcesów kasowych sezonu. Oto sukces mniejszy nieco, ale także duży: „Dama Kameliowa" z Gretą Garbo. „Generał" Bustera Keatona spowodował dyskusję o źródłach i rozwoju komizmu filmowego — nie było właściwie ani jednego starego filmu, którego współczesna premiera przeszłaby niezauważona. Wydaje się, że w tej właśnie dziedzinie łączności ze sztuką filmową Kina Dobrych Filmów mają szczególnie wiele do zrobienia, skoro okazuje się w praktyce, że klasyków kina wciąż można oglądać (z pewnym strachem myślę, że w niektórych wypadkach dzieła klasyków filmu bardziej można oglądać, niż dzieła klasyków literatury dzisiaj czytać).

Oglądajcie więc film, który, choć wejdzie na ekrany w najbliższych dniach, powstał trzydzieści trzy lata temu: „M — Mordercę" reżysera Fritza Langa.

Jerzy Toeplitz w swej wielotomowej historii filmu powiada o tym dziele, że „wbrew zamiarom Langa powstał film dyskusyjny, wieloznaczny, a przy tym rzucający światło na zagubienie jasnych kryteriów moralnych przez społeczeństwo niemieckie..." — co już stanowi dostateczną rekomendację opowieści, która wyrosła z autentycznych faktów: wampir z Düsseldorfu, tajemniczy, groźny morderca działał przecież naprawdę. Inaczej wyglądała walka z nim i jego koniec, niż to dzieje się w filmie Langa, ale nie jest to ważne: do dziś film wciąga w swoją akcję, pasjonuje, a przecież dodać trzeba (znowu zdanie z Toeplitza), że „znaczenie filmu Langa jest większe na płaszczyźnie formalnej, niż teoretycznej..."

Właśnie. Oglądając stare filmy, nieustannie łapię się na refleksji, że to już było, to już znam, widziałem nie raz, lecz wielokrotnie... Źródłem podobnych uczuć jest i „M": ekspresyjne zastosowanie dźwięku widziałem i słyszałem wielokrotnie nawet lepiej oddziałujące; znakomite, pełne nastroju, tego samego typu zdjęcia, oglądałem w dziesiątkach filmów; nawet głównego aktora, Petera Lorre, pamiętam z podobnych, demonicznych ról w takich filmach jak „Sokół maltański", „Casablanca". „Człowiek, który wiedział za wiele..."

To prawda, oczywiście — ale to wszystko było po „Mordercy", w lat kilka lub kilkanaście. Film Langa spowodował nie tylko zwykłe naśladownictwa, lecz także subtelne wykorzystywanie i rozwijanie jego artystycznych zdobyczy: w nieoczekiwanych zgoła miejscach można spotkać ślady i znaki reżyserskich zabiegów twórcy opowieści o bezwzględnym mordercy, dlatego przecież i on i jego film są klasykami...

To niebezpieczeństwo grozi wszelkim klasykom: ich kontynuatorzy i naśladowcy zabijają oryginalność pierwotnych osiągnięć, rozcieńczają niejako znaczenie tych, którzy nowe słowa powiedzieli pierwsi.

Dlatego „Morderca" Langa, film już muzealny, który do dziś pozostał żywy (jakże inaczej, głębiej niż łzawy melodram „Przeminęło z wiatrem" na przykład) wymaga publiczności szczególnie tolerancyjnej, wyrozumiałej, właśnie dobrych widzów, którzy film obejrzą nie tylko po to, by mieć jeszcze jeden tytuł w repertuarze z głowy, lecz także po to, by ślady wielkości Langa, jego tematu i sposobu podejścia do niego, móc łatwiej odnaleźć w dziesiątkach filmów, które już widzieli i wielu tych, które nawet jeszcze nie powstały.

Film jest sztuką młodą; dzieła starzeją się o wiele szybciej, niż ich twórcy, ale za to oddziałują nie tylko na publiczność, ale i na twórczość filmową bardzo dynamicznie, widocznie. Gdyby w „Mordercy" Langa można było zobaczyć tylko to, jak film na inne dzieła oddziałał, już byłoby warto go obejrzeć, a poza tym wszystkim (słowo daję) jest jeszcze do obejrzenia sam ciekawy, kryminalno-sensacyjny film.

LECH PIJANOWSKI

WIĘCEJ WSPÓŁCZESNOŚCI

ALEKSANDER POSTOŁOW

Jak ten czas szybko leci! Ledwo się człowiek obejrzał i już dwadzieścia lat — myślałem sobie, kiedy w lipcu br. uroczystości dwudziestolecia PRL osiągnęły kulminację. Mimo woli odżył we mnie obraz dawnej Łodzi, zapamiętanej jeszcze z dzieciństwa. Piotrkowska z drewnianą jezdnią, białe, pełne cuchnącej cieczy rynsztoki, długie, białe płoty, ogromne konne rolwagi, kocie łby i wąskie, zatłoczone kaniony przecznic. Jakże to wszystko się zmieniło! I choć pejzaż dzieciństwa owiany jest zawsze sentymentalną mgiełką wzruszeń, wypiera go coraz bardziej obraz nowoczesnej metropolii. **Jest to już dziś nie tylko poważny ośrodek przemysłowo-handlowy, nie tylko wielkie skupisko klasy robotniczej, ale także i miasto grupujące pokaźną liczbę studentów, naukowców, pisarzy, plastyków, aktorów, filmowców, słowem tych wszystkich, którzy przyczyniają się do rozwoju kultury ogólnonarodowej.** W porównaniu z Warszawą i Krakowem, z ich tradycjami kulturalnymi, Łódź jest dwudziestolatkiem. Nie chcę tu urazić nikogo z miłośników Łodzi (sam się zresztą do takich zaliczam), poszukujących skwapliwie tradycji kulturalnych XIX- i XX-wiecznej Łodzi. Niewątpliwie tradycje te istnieją, jednakże jak wątłe i jak w rażącej dysproporcji w stosunku do wielkości miasta i jego potrzeb. Awans kulturalny naszego miasta wraz z jego bogatym, bujnie tętniącym życiem dzisiejszym zapisać można wyłącznie na rachunek minionego dwudziestolecia Polski Ludowej.

Wraz z innymi instytucjami powstało w tym okresie (w roku 1958) także i **Wydawnictwo Łódzkie.** Powiecie może, że w okresie międzywojennym istniał także ruch wydawniczy, był Fiszer, Księgarnia „Czytaj" i inne. Jednakże wobec braku zaplecza środowiskowego i szczupłości funduszów był to ruch raczej rachityczny, o zasięgu niewielkim. **Powstanie przedsiębiorstwa państwowego było zatem**

rezultatem awansu kulturalnego miasta, rozwoju środowiska literackiego i naukowego, było także wynikiem polityki kulturalnej rządu, bez której przecież awans kulturalny miasta nie mógłby się dokonać. Oddziaływanie placówki edytorskiej jest wielorakie, zwłaszcza w mieście młodym, tak środowiskowo zróżnicowanym jak Łódź. Każde przecież wydawnictwo chce dotrzeć do czytelników, mając na uwadze określony typ czytelnika, określone środowisko. Przy bardzo zróżnicowanym obliczu miasta, o zmieniającej się strukturze ludności, w dodatku w dużym procencie świeżo przybyłej do Łodzi, jest to zadanie niewątpliwie trudne. Z drugiej zaś strony działalność edytorska jest przecież uzależniona od środowiska literackiego, które w naszym mieście też nie jest środowiskiem zasiedziałym, a raczej młodym. Stąd płyną początkowe perturbacje naszej placówki, rozchwianie tematyczne planów edytorskich i brak skrystalizowanego oblicza. **Z biegiem czasu profil wydawnictwa zaczyna się kształtować, oczywiście, nie bez wpływu obydwu czynników, o których poprzednio mówiłem, to jest zarówno środowiska literackiego, jak i określonego charakteru miasta.** Dla czytelników w całym kraju Wydawnictwo Łódzkie jest znane przede wszystkim jako wydawnictwo literatury współczesnej. Symbioza ze środowiskiem pisarskim, które dawniej poświęcało się głównie poezji, dała w wyniku szereg powieściopisarzy czytanych w całym kraju. Krytyka literacka poświęca sporo uwagi Leonowi Gomolickiemu, Wiesławowi Jażdżyńskiemu, Janowi Huszczy, Apoloniuszowi Zawilskiemu, Bernardowi Sztajnertowi, Romanowi Łobodzie, Jerzemu Waleńczykowi. W poszukiwaniu współczesnej powieści Wydawnictwo sięga także i do środowisk pozałódzkich. Kielecczyzna, Opolskie, Warmia i Mazury, Wrocławskie, Pomorze — oto środowiska nawiązujące z nami kontakty. To też — choć pośrednio — przyczynia się do oddziaływania naszego miasta na dość odległe regiony kraju. W roku bieżącym wydaliśmy m. in. powieść Kazimierza Kowalskiego „Partyzant nie składa broni", autora mieszkającego w Opolu, która spotkała się na ogół z przychylnym przyjęciem krytyki i czytelników. Z takim samym przyjęciem spotkały się uprzednio wydane książki: Waldemara Babinicza „Listy z parafii", „Apostołowie" i „Za ścianą", Czesława Ostańkowicza „Dziwny, normalny świat", Marii Opolskiej „Bożek ciepła rodzinnego", Władysława Dunarowskiego „Opowieść o złej dziewczynie" i inne.

Nawet pobieżny przegląd katalogów Wydawnictwa Łódzkiego utwierdzi każdego w tym, że dominantą w naszej produkcji staje się coraz bardziej proza współczesna. Łatwo zauważyć także, że Wydawnictwo Łódzkie jest placówką, która umożliwiła debiut wielu pisarzom. Na jednej liście znajdą się tu pisarze łódzcy obok innych, a więc L. Gomolicki, A. Kamieńska, B. Sztajnert, J. Radzymińska, J. Waleńczyk, B. Eysymontt, K. Frejdlich, F. Scholz, E. Dąbrowska, W. Kajder, T. Chróścielewski, M. Hołyńska R. Łoboda, M. Opolska, E. Kurowski, W. Jażdżyński, A. D. Kaczyńska, W. Piotrowski, J. Bobrowski oraz zmarły już G. Timofiejew i inni. Lista wcale pokaźna. Nie wszyscy debiutanci pozostali wierni Wydawnictwu, znaczna część wydaje w stołecznych placówkach edytorskich. Mówię o tym bez żalu, jest to bowiem zjawisko ogólnopolskie, wydawnictwa regionalne spełniają nieraz rolę sita wyławiającego młode talenty, które później wędrują do wydawnictw centralnych, nie zawsze skłonnych wobec dużych możliwości edytorskich (uznani pisarze polscy, przekłady, klasycy) do podjęcia ryzyka debiutu.

Klamrą spinającą różnorodną warsztatowo i tematycznie produkcję w dziale prozy jest jej współczesność. Tym się wyraża także i oblicze miasta, młodego, żyjącego jak najbardziej współczesnym rytmem. Na razie jest to współczesność w sensie raczej historycznym, tj. w sensie sięgania do wydarzeń zaliczających się do bliskiej nam* historii (okupacja, pierwsze lata po wojnie) rzadko kiedy zaś problematyka dzisiejszego życia, ta, którą żyją i z którą borykają się szerokie warstwy czytelników. Psychiczne doznania wykolejonych jednostek, często pod wpływem postfreudyzmu, środowiska wynaturzone, marginesowe i wreszcie wspomnienia są zwykle kanwą tej prozy, o której piszę.

Oczywiście i taka tematyka może być potrzebna, czytelnik czeka jednak na prozę innego typu, na powieść, która pomoże mu dostrzec i zrozumieć charakterystyczne dla naszego wartko płynącego życia oblicze dnia dzisiejszego. Taka właśnie proza jest przedmiotem szczególnej troski naszego Wydawnictwa.

Każdego, kto zetknął się z środowiskiem literackim naszego miasta, uderza duża liczba poetów, zwłaszcza młodych. Młodzi zwykle zaczynają od poezji, przy czym w warunkach mecenatu państwa, wyrażającego się nie tylko w istnieniu placówki edytorskiej, ale także licznych konkursach, mają ułatwione zadanie. Słabo u nas rozwinięta poczytność tego gatunku literackiego, spowodowana po części charakterem i rolą tej poezji, obliczonej na wąskie koła znawców, ogranicza znacznie możliwości Wydawnictwa. Mimo to jesteśmy placówką edytorską żywo uczestniczącą w życiu poetyckim naszego kraju, a w proporcji do innych wydawnictw poezja zajmuje w naszych edycjach pokaźne miejsce. Tomiki poetyckie, szkatułki debiutantów, almanachy, „Rzecz Poetycka" świadczą o tym. Nie chcę nużyć Czytelników i przytaczać długą listę poetów, których wydaliśmy lub wydajemy. Są to przeważnie debiutanci. Ostatnio zaczynamy roztaczać opiekę nad kołami poetów, skupiającymi się wokół organizacji społecznych. **Wydaje nam się bowiem, że udział w życiu społecznym kształtuje oblicze zarówno poety, jak i odbiorcy.**

Łódzkość naszego Wydawnictwa występuje jaskrawo w edycjach popularnonaukowych i naukowych. Są one bez reszty poświęcone Łodzi, a ostatnio również regionowi łódzkiemu. Mimo istniejącej pokaźnej bibliografii naszego miasta historia Łodzi i jej postępowe tradycje były ogółowi czytelników mało znane. **Zresztą bibliografia, o której wspomniałem, była do czasów powojennych raczej zbiorem przyczynków, publikowanych w różnych pismach i pracach naukowych, trudno na ogół dostępnych. Wydawnictwo nasze bibliografię tę znacznie wzbogaciło.** W połowie XIX wieku Oskar Flatt opracował monografię naszego miasta pt. „Opis miasta Łodzi". Drugim takim opisem Łodzi, już nie XIX-wiecznej, ale współczesnej, jest wydane przez nas studium monograficzne Adama Ginsberta „Łódź". Edycje nasze poświęcone są przeważnie czasom międzywojennym bądź też okupacji i w znacznie mniejszym stopniu czasom powojennym. Czytelnik znajdzie w nich przyczynek do historii ruchów robotniczych w naszym mieście (np. Lecha Karwackiego „Walka o władzę w Łodzi w latach 1918—1919", „Strajki włókniarzy łódzkich w latach 1933—1938 — Wspomnienia działaczy KPP" i inne) bądź tragiczne karty z okresu wojny i lat okupacji (Władysław Bortnowski „Na tropach łódzkiego września", Stanisław Rapalski „Byłem w piekle", Stanisław Gajek „Promieniści", Monika Warneńska „Chłopcy z miasta Łodzi", Adam Kowalski „Pamiętnik nauczyciela", Jakub Poznański „Pamiętnik z getta" i in.), bądź też relacje z pierwszych lat po wojnie, jak np. Adama Leśniewskiego „Łódzka organizacja AZWM „Życie" w latach 1945-1948". Szczególną troską otaczaliśmy literaturę popularnonaukową, upowszechniającą w łatwej formie dzieje i postępowe tradycje Łodzi. Na cykl tych edycji składają się: Moniki Warneńskiej „Fortuna rodu Krusche", Andrzeja Izerskiego „Widzewski królik", Bronisławy Garncarskiej „Fortuna kołem się toczy", Andrzeja Berkowicza „Gayerowska legenda" i niedawno wydana książka Wiktora Lemiesza „Strzał przed fabryką Biedermanna". Nie zaniedbaliśmy również historii kultury łódzkiej. Świadczą o tym: książka Wandy Lipiec „Zelwerowicz i scena łódzka", Mariana Minicha „Szalona galeria" oraz mające się niedługo ukazać „Teatr pokoleń" Marii Czanerle i Stanisławy Mrozińskiej „Karabin i maska", jak również tom wspomnień różnych autorów pt. „Tranzytem przez Łódź". Nie tylko historia Łodzi i regionu powinna znaleźć się, moim zdaniem, na naszym warsztacie. Miasto, które rośnie i ustawicznie zmienia swe oblicze, ma szereg aktualnych problemów z różnych dziedzin życia społecznego. **Reportaże o współczesnej Łodzi (wydaliśmy już cykl takich reportaży pt. „Ucieczka przedmieścia"), popularne opracowania o tematyce związanej z przemianami socjologicznymi bądź też dotykającej problemów upowszechnienia kultury i innych węzłowych zagadnień naszego życia powinny znaleźć się także w naszych tekach redakcyjnych.** Oczywiście, jeżeli znajdą się naukowcy i publicyści, w co zresztą nie wątpimy, którzy nie tylko poświęcą się tej problematyce, ale zechcą ją także podać w formie dostępnej dla szerokich warstw czytelników.

Wydawnictwo Łódzkie ma już za sobą dość niespokojny okres raczkowania, jest obecnie placówką ustabilizowaną, o określonej polityce wydawniczej, mającą poważne szanse dalszego rozwoju. Czy szanse te będą odpowiednio wykorzystane, zależy nie tylko od samej placówki, jest to w dużej mierze także sprawa szerokiego grona literatów, popularyzatorów wiedzy, publicystów, z którymi współpracujemy względnie będziemy współpracować. Dotychczasowe wyniki współpracy mimo niewątpliwych błędów, czasami nawet zgrzytów (nie czujemy się tu oczywiście bez winy), napawają otuchą. Wypada mi zatem skończyć ten z natury rzeczy pobieżny przegląd naszej działalności życzeniem, które będzie chyba wyrazem życzeń nie tylko naszego zespołu, ale i czytelników: **„W przyszłości więcej i lepiej, zwłaszcza więcej współczesności".**

CO SIĘ DZIEJE?

❖ A. Feliński — Barbara Radziwiłłówna, K. Choiński — Nocna opowieść, A. Maliszewski — Droga do Czarnolasu, Z. Malanowska — Śpiących nie budzić, L. Tołstoj — Ciemna potęga. To pozycje, które przygotowuje dla widzów naszego województwa Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej na sezon 1964/65. To już dwunasty sezon tej placówki. Mówi dyrektor i kierownik artystyczny, p. Cz. Staszewski: „Byliśmy dotąd teatrem powszechnym w doborze treści i formy, a świadomy eklektyzm repertuarowy spełniał zadania, dla których powstał ten teatr. Stopniowo, ale systematycznie będziemy przekształcali profil naszej działalności artystycznej w kierunku teatru problemów.

* * *

❖ Na odbywający się niedawno Zjazd Twórców Ludowych Ziemi Łódzkiej (czy obejrzeliście wystawę w parku Sienkiewicza?) przybyło ponad 200 osób. Nie, nie tylko z naszego województwa, bo na przykład 70-letnia p. Maria Grochal przyjechała aż... z Koszalina. Kiedyś mieszkała w Łęgonicach (pow. Rawa Mazowiecka) i tam zasłynęła jako znakomita wycinankarka, hafciarka... Zresztą, czego to nie umie pani Maria? Skracając sobie czas podczas załatwiania formalności w Wydziale Kultury Prez. WRN dała gratisowy recital przyśpiewek ludowych. I to jak!

* * *

❖ „Nietoperz" — to nazwa kabaretu ZMS przy Szpitalu Miejskim w Radomsku, którego kierownikiem i „duchowym przywódcą" jest dr Dyzman Krasoń. Ambitny, choć półtoraroczny zaledwie teatrzyk zdążył już zrobić niezłą karierę, nie tylko na własnym podwórku. Oto, po zwycięskim przejściu przez eliminacje wojewódzkie, wyjeżdża w grudniu do Wrocławia na Krajowy Przegląd Amatorskich Teatrów Małych Form. Będziemy zaciskać kciuki.

Przy okazji, wiadomość dla pp. historyków teatru. Coraz więcej zespołów estradowych i kabaretów powstaje w miastach powiatowych, małych miasteczkach, a także i na wsiach. Casus: kabaret „To i owo" przy Wiejskim Domu Kultury w Kłomnicach pow. Radomsko. Radzimy obejrzeć.

* * *

❖ Tego dnia sala remizy strażackiej zapełniała się szybko. Mieszkańcy Brzeźnicy Nowej nigdy nie narzekają na nadmiar rozrywek kulturalnych, a dziś właśnie okazja. „Spotkanie z Jerzym Ofierskim" — kusi afisz, więc kto żyw... Ale, los jest kapryśny. Bowiem aktor, przestąpiwszy próg remizy stwierdził, że — za zimno... I nie wystąpił. I pojechał dalej, na kolejny występ mający się odbyć, nomen omen, w restauracji „Kolorowa" w Pajęcznie. Cie, chorrroba!

A swoją drogą — w „Kolorowych" bywa ciepło, a remizy strażackie w porze jesiennej i zimowej przypominają lodówki. Czy aktor ma występować w charakterze mrożonki? Istnieje przepis ministerialny zgodnie z którym aktor może nie wystąpić, jeżeli temperatura sali nie osiąga iluś tam stopni ciepła.

PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI

DRUGA PROZA DĄBROWSKIEGO

W dwadzieścia lat od swego debiutu prozatorskiego (1939 r.) Jurij Dąbrowski opublikował nową powieść pod tytułem: „Małpolud przychodzi po swoją czaszkę", której II wydanie ukazało się właśnie w serii „Biblioteki Powszechnej" w przekładzie Ireny Piotrowskiej. Za szokującym, niemal sensacyjnym tytułem kryje się interesująca, a miejscami wręcz wytrawna proza.

Akcja powieści toczy się współcześnie na Zachodzie, chociaż zasadniczy temat książki stanowi retrospektywa osadzona w latach okupacji i drugiej wojny światowej. To motywy samobójstwa profesora antropologii Messoniera, autora traktatu naukowego o równości ras, zaszczutego przez nazistów, oraz losy jego uczniów, z których niektórzy poszli na współpracę z okupantem. Profesor wybiera drogę Seneki, aby ocalić swoje dzieło i godność.

Tragiczną historię profesora opowiada w powieści jego syn Hans Messonier, sprawozdawca sądowy nieco liberalizującego dziennika, rozpoznawszy w przypadkowym przechodniu gestapowca, który kierował prowokacyjną akcją przeciw antropologowi. Dziennikarz wzburzony odkryciem, że morderca jego ojca przebywa na wolności, pisze wstrząsający wstępniak i sam pada ofiarą prowokacji. Wkrótce po opublikowaniu artykułu gestapowiec zostaje zamordowany przez nieznanych sprawców i prokuratura królewska zaczyna doszukiwać się związku przyczynowego między jego śmiercią a publikacją, która zawierała wezwanie do karania zbrodniarzy wojennych. Gdyby związek taki dało się ustalić, syn profesora musiałby odpowiadać za publiczne podżeganie do morderstwa.

Tak więc, blisko dwadzieścia lat od rozgromienia faszystów małpolud, pod którym rozumieć należy rasizm, raz jeszcze daje o sobie znać.

K. F.

Jurij Dąbrowski: „Małpolud przychodzi po swoją czaszkę", Wyd. „Iskry" 1964 r., str. 406.

„FIOLETOWE POŃCZOCHY"

Nie, to nie nowy film Nasfetera, to wybór zapomnianych, powybieranych z czasopism, opowiadań Gabrieli Zapolskiej. Chociaż w tej książce jest jednak coś z filmu, coś z (obyczajowych przede wszystkim) kronik przełomu dziewiętnastego na dwudziesty wiek i coś z filmowych etiud, bardzo nieraz dramatycznych w tragicznym skrócie ludzkiego losu. I coś w końcu z Nasfetera: w opowiadaniach Zapolskiej pojawiają się bardzo często dzieci, wyrostki, podlotki, przypominające wynędzniałymi od nieszczęścia twarzyczkami, przygniecioną przez przedwczesną dojrzałość psychiką, małego, smutnego aktora z „Ich czworga". To są zresztą najlepsze opowiadania w tej książce.

Co jest jeszcze nie najgorsze w „Fioletowych pończochach"? Na pewno — społeczny i obyczajowy autentyk, czerpany częściowo — ze współczesnej Zapolskiej Galicji, częściowo (pod dużym zresztą literackim wpływem Zoli i Maupassanta) z Paryża. Na pewno — życie ludzi teatru, aktorów, odczyszczane umiejętnie przez Zapolską z fałszywego blichtru szminki i kinkietów. Na pewno wreszcie — galeria wizerunków człowieczej doli i niedoli, jeśli tylko autorka „Żabusi" ogranicza się do ich fotografowania, czy — lepiej — szkicowania z natury, bez melodramatycznego komentarza, bez rozmazanego po młodopolsku stylu i słownictwa. Niestety, nie był to dla Zapolskiej proceder typowy, symptomatyczny artystycznie, zanadto ją ponosił (tak jak i w dramaturgii) publicystyczny temperament, emocjonalny, chwilami melodramatyczny sposób reagowania na świat i ludzi, zbyt rzadko brany w cugle kierowanej kąśliwymi niuansami drwiny. Na szczęście — i w tej regule były wyjątki układające się w najoryginalniejsze literacko ściegi „Fioletowych pończoch".

Z. P.

Gabriela Zapolska: „Fioletowe pończochy" Wyd. Literackie 1964, s. 296, cena 19 zł.

„CZAS NIELUDZKI"

Ten tytuł, jak również treść i bohaterów wznowionej powieści Stefana Otwinowskiego, tłumaczą bez reszty chronologię jej powstania: „Czas nieludzki" napisał autor „Cichej leśniczówki" (przynajmniej w pierwszym zarysie) wśród okupacji, wydał po raz pierwszy — w roku 1946. Niewiele więc różniło tę książkę, i w genezie, i w realiach, od „Nocy" Andrzejewskiego, „Szekspira" Rudnickiego, „Medalionów" Nałkowskiej: jak tamtym — tak i Otwinowskiemu zależało na pochwyceniu „na gorąco" na kartki papieru czasu, w którym ludzie ludziom zgotowali los nieludzki.

Bohaterowie „Czasu nieludzkiego" — to ludzie całkiem (na inteligencką jednak miarę) przeciętni i prowadzący przed Wrześniem takoż tuzinkowy żywot. Czas nieludzki wyciska na ich biografiach piętno innej powszedniości, powszedniości łapanek, egzekucji, obozowych drutów i krematoriów. Polski dzień jak co dzień sprzed i po roku 1939 dzieliła cezura tragizmu. Sukcesem „Czasu nieludzkiego" jest jej uplastycznienie, zaakcentowanie nie tyle okrutnymi realiami, ile dramatyczną metamorfozą wnętrza człowieka, rejestrującego z początku jak czuły sejsmograf najdrobniejsze drgnienia nienawiści, później — odgradzającego się od nich grubiejącą systematycznie skorupą instynktownej — we wszystkich znaczeniach — od biologicznego do moralnego — samoobrony. Tej to cezury dotyka Otwinowski słowami, które osobiście uznałbym za pointę i motto „Czasu nieludzkiego": „Oto jak ocaleliśmy. Kilka kroków od zagłady. Tajemnica".

Z.P.

Stefan Otwinowski: „Czas nieludzki". Wyd. Literackie 1961, s. 170, cena 12 zł.

HENRYK BEREZA

W SYTUACJI ADMETA

Stwierdzałem już nieraz fakt — to najlepsze słowo — eksplozji pisarskiej u Leona Gomolickiego. Fakt ten nie jest jeszcze dostatecznie brany pod uwagę w opiniach literackich, myślę jednak, że i do tego będzie musiało dojść. Pisarska eksplozja Gomolickiego trwa. Co roku nowa znakomita książka! Jak długo można tego nie zauważać! Pod tym względem u nas możliwości są wprawdzie niewyczerpane ale nic na szczęście nie jest wieczne, więc także i możliwości niedostrzegania zjawisk ważnych muszą przynajmniej w konkretnych wypadkach znaleźć swój kres. Gomolicki zdążył tymczasem wejść w stadium syntez własnego pisarstwa.

Oznak tego stadium doszukiwałbym się już w „Czasobraniu" (1963). W „Czasobraniu" wystąpiły łącznie znamienne motywy poprzednich powieści Gomolickiego a więc „Ucieczki" (1959), „Uprowadzenia Baucis" (1960) a także „Wyłączenia" (1962) i „Białego runa" (1962). W „Czasobraniu" też zrodziła się idea przewodnia powieści „Kiermasz", jeśli za taką ideę uznać to, co w „Kiermaszu" uzyskało nazwę a d m e t y z m u. To o admetyzmie mowa w takich na przykład refleksjach „Czasobrania": „Wszyscy, a przynajmniej większość ludzi żyje życiem podarowanym. Szkoda, że zapomina o tym. Zapomina, że od lat moglibyśmy już nie istnieć. Że kilka, kilkanaście lat są nadwyżką, może nieprzewidzianą, w każdym razie zaliczoną na inny rachunek. Bo nie zawsze to uzupełnia, często tylko mąci obraz, który w chwili p i e r w s z e j śmierci był całkowity, zakończony" („Czasobranie", str. 208).

Znakomita jest ta idea admetyzmu, wyprowadzona — jak przystało na filologa także — z „Alcesty" Eurypidesa. Admetowi życie uratowała Alcesta. Postać Alcesty fascynowała wszystkich, którzy sięgali do tego klasycznego motywu tragicznego. Nie tak dawno pokuszono się w Polsce o deheroizację Alcesty, ale i w tym wypadku uwagę pisarza skupiła jej postać. A tymczasem dla nas, którzy żyjemy, cała tajemnica zawarta jest w Admecie. Admet żył podarowanym życiem. Jeśli na tę naszą (wszystkich żyjących) wspólność z losem Admeta nikt przed Gomolickim nie zwrócił uwagi, to chyba dlatego, że ta wspólność mimo wszystko i wbrew naszym filozofiom nie jest nam miła. Nie jest nikomu miła dwuznaczna sytuacja moralna. Sztuka czciła i czci z takim zapałem wszelkie jednoznaczne sytuacje, żeby zagłuszyć uciążliwy niepokój wszelkiej dwuznaczności moralnej. O tej dwuznaczności, którą wydobywa na plan pierwszy Leon Gomolicki, napomykało wielu moralistów, ale nikt nie zdobył się na to, żeby o niej z całą otwartością powiedzieć, żeby ją ochrzcić pisarskim słowem. O niej napomyka między innymi Albert Camus w „Upadku", gdy każe Chamence'owi sformułować tę tak zastanawiającą motywację śmierci Chrystusa: „Skoro wiedział to, co wiedział, świadomy wszystkiego w człowieku — ach, któż by uwierzył, że zbrodnia nie polega na tym, że się zabija, ale, że samemu nie umiera! — dzień i noc obok swej niewinnej zbrodni, zbyt trudno było mu zachować siebie i ciągnąć dalej" („Upadek", Warszawa 1957, str. 94). Drastyczne napomknienie znajdziemy także u Zofii Nałkowskiej w „Medalionach": „Śmierć zwyczajna, osobista, wobec ogromu śmierci zbiorowej wydaje się czymś niewłaściwym. Ale rzeczą bardziej wstydliwą jest żyć". Te doniosłe napomknienia pozostają tylko napomknieniami. Gomolicki w admetyzmie znalazł własny klucz do sytuacji moralnej współczesnego człowieka i sytuacji tej dał pełny wyraz w „Kiermaszu".

„Czasobranie" dawało sumę wątków i motywów pisarstwa Gomolickiego, idea admetyzmu umożliwiła w „Kiermaszu" stworzenie ich syntezy. Gdyby ktoś chciał, mógłby wskazać w „Kiermaszu" aluzyjne powtórzenie motywów wszystkich utworów literackich Gomolickiego. Ten ktoś musiałby także zauważyć, że motywy te zostały powtórzone na inny użytek. W pierwotnych wersjach tworzyły one każdy oddzielnie samoistny literacki mit. W powtórzeniu zostały one odmitologizowane, ponieważ mity poszczególne zastąpił niejako mit nadrzędny, a ponadto okazało się, że ten mit nadrzędny nie jest już mitem heroicznym. Admeta nie można heroizować, a przynajmniej nie można heroizować w żaden klasyczny literacko sposób. Cierpienie Admeta jest jak wstydliwa choroba. Współczesny Filemon — żeby odwołać się do „Uprowadzenia Baucis" — to heroizm w stanie czystym. Filemon przemieniony w Admeta, nawet gdy mu zostawić duszę Filemona, jest osaczony przez nieheroiczną dwuznaczność moralną.

Sytuacja Admeta jest sytuacją wstydliwą moralnie, a ponadto nie ma z niej wyjścia. Przede wszystkim tragiczne go, a więc naprawdę heroicznego. Nie odrzuca się tego, co się otrzymało w darze i to w darze o takiej cenie. Z darem takim co najmniej wypada się pogodzić. Darowanemu koniowi w zęby się nie patrzy, więc także jakiekolwiek wybrzydzanie się byłoby nie na miejscu. A dar ten nie może już być inny niż w najlepszym razie siaki taki Bo on nie może już przynieść szczęścia. I mała pociecha z tego, że za dar ten się nie odpowiada, bo nie jest się z tego powodu, ani oskarżonym, ani nawet winnym. Wystarczy sama wstydliwość sytuacji, jeśli się o tej wstydliwości wie i ją odczuwa. Można, oczywiście, i nie wiedzieć, i nie odczuwać, i to jest dopiero użyteczny dar przyrodzony lub nabyty. Podejrzewam, że Admetowi to także było dane. Bohater i narrator „Kiermaszu" należy jednak do tych, którzy wiedzą i odczuwają. Ci zaś nie mogą już nic innego jak tylko oswoić się z rzeczą, dając jej imię. Dlatego bohater i narrator „Kiermaszu" stworzył kategorię admetyzmu.

Zawarta w powieści Gomolickiego propozycja diagnozy humanistycznej wydaje mi się niesłychanie celna i aż dziw, że jej nikt w podobny sposób nie sformułował na użytek literacki. Bo, oczywiście, o taki wyłącznie użytek chodzi. Gomolicki wysuwa propozycję diagnozy moralnej, ale nie chce wcale — tak sądzę — być moralistą. Chyba słusznie. Kto może nie wiedzieć o sytuacji Admeta, niech nie wie. Jego szczęście!

Leon Gomolicki: „Kiermasz", (Łódź, 1964), Wydawnictwo Łódzkie, str. 180, 2 nlb.

ZAPISKI KLERKA

Złośliwcy twierdzili, że Karol Irzykowski jąka się nie tylko wtedy, gdy mówi, ale także, gdy pisze. Ten znakomity krytyk literacki nie był lubiany i miał pod dostatkiem wrogów. Sprawiedliwość każe przyznać, że i on nikogo nie lubił, wiodąc raczej żywot człowieka samotnego — bez przyjaciół i rozkochanych w nim uczniów. Powiedział kiedyś o sobie: „Literaci polscy nie czytają mnie, a ja nie czytam ich, moja zemsta jest w każdym razie ilościowo większa". Nie da się jednak zaprzeczyć, że w miarę jak oddalamy się od dnia śmierci Irzykowskiego, znaczenie jego rośnie. Często powołują się na niego młodzi krytycy, polemiści przeciwstawiają jego metodę metodzie Boya-Żeleńskiego, pisma Irzykowskiego poszukiwane są w antykwariatach. Oprócz bowiem wyboru jego pism pt. „Cięższy i lżejszy kaliber" oraz wznowienia „Dziesiątej muzy", nie dysponujemy niczym więcej. Czas byłby najwyższy opublikować na nowo „Czyn i słowo", „Słonia wśród porcelany" a zwłaszcza i nade wszystko „Walkę o treść".

Tymczasem otrzymaliśmy obszerny tom wspomnień i zapisków Karola Irzykowskiego pt. „Notatki z życia, obserwacje i motywy", nakładem „Czytelnika", ze wstępem Stefana Kisielewskiego. Ta obszerna książka, licząca ponad 500 stron druku, zasługuje z wielu względów na uwagę. Składa się ona z czterech części: pierwsza, obejmująca lata młodzieńcze (1891-1897), druga, poświęcona śmierci ukochanej córki Basi, która to część przypomina nieco swoim charakterem wspomnienia Żeromskiego o synu Adasiu, następnie okres międzywojenny oraz czas okupacji, doprowadzony do r. 1944 czyli do śmierci autora. Najmniej ciekawe (przynajmniej dla mnie) są młodzieńcze zapiski Irzykowskiego. Wyłania się z nich osobowość małoletniego megalomana, który marzy o tym, by zakasować wszystkich i być „pierwszym w klasie". Przyjmujemy te notatki z wyrozumiałością, nie biorąc nazbyt serio ani jego osądów, ani tym bardziej marzeń i planów. Najciekawsze są z pewnością wspomnienia z lat międzywojennych i okupacji, wypełniające co najmniej połowę całego tomu. Niestety albo na szczęście (to zależy od punktu widzenia) zapiskami tymi nie zjednuje sobie Irzykowski czytelnika. Jawi się nam on jako człowiek złośliwy i zawistny, nie ufający nikomu, ba! nawet do ludzi mu bliższych nie pałający nadmierną miłością. Nie lubi Leopolda Staffa i Zofii Nałkowskiej, zazdrości Kadenowi-Bandrowskiemu i Boyowi, z lekceważeniem mówi o Sieroszewskim, Pomirowskim, Rusinku i wielu innych. Wszędzie węszy niechęć i zdradę, złą wolę i karierowiczostwo. Aż dziw bierze, że ten człowiek, uważający się za klerka, tak bezpośrednio odczuwał to wszystko, co niesie ze sobą dzień powszedni, tak łaknął nagród i uznania, tak wciągał sam siebie w sieć intryg i plotek. Inna rzecz, że szczerość, z jaką pisze, musi zdumieć i zaskoczyć każdego. Wyznać, że zazdrości się komuś stanowiska lub nagrody, narzekać, że się nie otrzymało jakiegoś wyróżnienia — mało kto na takie spowiedzi zdobyć się potrafi. Próbkę tej otwartości mieliśmy już w „Benjaminku", gdzie Irzykowski z rozbrajającą szczerością dziecka napisał, że bardzo zazdrości Boyowi-Żeleńskiemu popularności i powodzenia. Ale tu, w tych wyznaniach, wszystko to podniesione jest do entej potęgi. Muszę przyznać, iż momentami odczuwałem coś w rodzaju współczucia dla autora. Irzykowski, borykający się przez

całe swoje życie z trudnościami materialnymi, pracujący na utrzymanie jako stenograf sejmowy od 1919 do 1939 roku, nie mogący poświęcić się bez reszty krytyce i pisarstwu — nie zdołał zrealizować swoich zamierzeń. Nie napisał zaplanowanej historii literatury, nie dokończył pracy pt. „Mosty", którą uważał za fundamentalną, nie pozostawił nam w spadku „Testamentu klerka". W końcu nie ważne jest jakim autor był człowiekiem: sympatycznym czy nie lubianym. Ważne są jego dzieła, to co stworzył jako krytyk-intelektualista. Cokolwiek by się nie powiedziało, Irzykowski był jednym z filarów myśli krytycznej w międzywojennym dwudziestoleciu. Jego pasja, jego dociekliwość, jego samodzielność i odwaga to cnoty, które wśród pisarzy nie kwitną na co dzień.

Jego myśli przetrwały próbę czasu. Jeśli młode pokolenie pisarzy powołuje się niejednokrotnie na Irzykowskiego, to właśnie dlatego, że znajduje w jego pismach niezwietrzałą pożywkę intelektualną. „Walka o treść", która narodziła się w wyniku polemiki z koncepcją sztuki Stanisława Ignacego Witkiewicza, nie straciła nic lub straciła tylko niewiele ze swego podstawowego znaczenia. Dziś czyta się ją z takim samym zainteresowaniem, jak wówczas gdy została opublikowana, to znaczy przed trzydziestu pięciu laty. Prawda, Irzykowski nie miał łatwego pióra. Pisał ciężko, czasami nawet — niezgrabnie. Ileż traci jego styl w zestawieniu z Boyem-Żeleńskim, tym mistrzem lekkości i wdzięku. Ale przecież sprawa nie sprowadza się tylko do tego, by pisać z powabem. W ostateczności chodzi o to, by mieć coś do powiedzenia. Karol Irzykowski miał wiele do powiedzenia. Jego rozważania na temat zdobnictwa w poezji, na temat formy i treści są przydatne również dla naszych dzisiejszych sporów i będą przydatne jutro.

W opublikowanych obecnie „Notatkach z życia" może najbardziej niepokoi część ostatnia czyli okupacyjna. Irzykowski, który okres okupacji nazywa „czasem darowanym" (że, niby, uwolniony od sporów i gierek, może oddać się studiom i czytaniu), stawia sam siebie w sytuacji jakby nieco dwuznacznej. Ale i tu należy pamiętać, że były to zapiski nie przeznaczone do druku, intymne, w których pisarz chciał być maksymalnie szczery i autentyczny. Jego poglądy z tego okresu godzą w naszą tradycję walki, zawierają coś z filozofii życia ułatwionego, przeciwko której w swoim czasie on sam ostro występował. Czytałem niedawno mikropowieść Kornela Filipowicza „Pamiętnik antybohatera". Przy Irzykowskim przypominała mi się ona. Źle to czy dobrze? Irzykowski powiedziałby zapewne: „Jeśli tak jest istotnie, to znaczy w każdym razie, że ja byłem pierwszy".

Zawsze chciał być pierwszy. Często mu się to udawało. Odkrywał rzeczy, które dopiero po nim odkrywali inni.

Jan Koprowski

Notatnik KULTURALNY

NIEDZIELA

Na dworcu poruszenie, z pociągu warszawskiego wprost w objęcia witających wpadają członkowie Zespołu Tańca Ludowego ZSRR. Ale gdzie sam kierownik Igor Moisiejew? Czy to ten przystojny, okazały mężczyzna? Na uboczu stoi skromny, niewysoki, o miłej powierzchowności pan, który zapytany o Moisiejewa mówi: to ja. Przypomina się morał starej bajki, przyswojony nam przez Krasickiego: „Nie sądź nikogo po minie, bo się w sądzeniu poszkapisz". Radzieccy artyści urzekli publiczność łódzką od pierwszej chwili występu nie tylko wirtuozowską akrobatyką, graniczącą z cudem nieważkości ludzkiego ciała, nie tylko urodą i oryginalnością tańców, ich różnorodnością folklorystyczną, ale także swoją bezpośredniością i pełną uroku swobodą. Dało się to odczuć zwłaszcza na przyjęciu zorganizowanym dla nich przez Zespół Harnama, gdy goście radzieccy, ucząc się tańców polskich, cieszyli się jak dzieci, jeśli udawało im się jakieś p a s.

PONIEDZIAŁEK

Dziś Łódź gościła przewodniczącą Państwowego Komitetu do Spraw Kultury i Sztuki Rumuńskiej Republiki Ludowej, panią Constancję Craciun. Gość rumuński podejmowany był przez władze miasta, po czym odwiedził Łódzki Dom Kultury oraz wytwórnię filmów. Zawsze przy takich okazjach zastanawiamy się, co wiemy o kraju, który reprezentuje nasz gość. Przeciętny zjadacz chleba wie o Rumunii niewiele: papryka, winogrona, pomidory, koniaki, rum, aha, jeszcze nafta. Pamiętam w szkolnej geografii zdjęcie krajobrazu Rumunii, centralne miejsce zajmował szyb naftowy i rafineria. Miejmy nadzieję, że po wizycie przewodniczącej do Spraw Kultury i Sztuki nasze kontakty ożywią się znacznie a wzajemne poznawanie się wyjdzie daleko poza ramy szkolnych czytanek i obrazków.

WTOREK

Walczymy ze sloganami i plagą hasłomanii, ale język świerzbi, aby ukuć nowe hasło: Polska krajem małych galerii. Albo (ponieważ akcja nosi nazwę: artyści malarze szkołom Tysiąclecia). Tysiąc galerii na Tysiąclecie.

Te hasłologiczne rozważania mają źródło w geście GRUPY XX przy Międzyzakładowym Domu Włókniarza w „Pałacyku". Plastycy tej grupy ofiarowali swoje obrazy Technikum Włókienniczemu nr 3, z okazji Dnia Nauczyciela. Może za rok będziemy mogli zamieścić na tym miejscu listę instytucji, które przekażą na rzecz szkół zmagazynowane u siebie dzieła sztuki w myśl nowego hasła: Każda szkoła ma swoją galerię.

ŚRODA

Niektóre dziedziny twórczości polskich artystów są znane i podziwiane za granicą, podczas gdy w kraju interesuje się nimi zaledwie garstka koneserów. Między innymi do „zapoznanych" płodów twórczości plastycznej należy tkactwo artystyczne. Dlatego dobrze się stało, że Biuro Wystaw Artystycznych umożliwiło nam obejrzenie ciekawej ekspozycji jaką jest przy ul. Piotrkowskiej 102 „Wystawa tkanin unikatowych ręcznie malowanych Henryka Kubika" (uff, ale tytuł). Kolorowa baśń i opowieści biblijne to przede wszystkim tematyka tych nowoczesnych arrasów. Wkraczamy w dobrze nam znany z dzieciństwa świat stworów, ludzików i skrzatów, w stylizowany świat o dziwnej kolorowej, nieco nadzmysłowej aurze dziecinnego pokoju.

CZWARTEK

„Gdzie być, a gdzie nie być — oto jest pytanie", tak brzmiałby w tym dniu nieco sparafrazowany i sparodiowany początek monologu Hamleta. Przed takim właśnie dylematem postawił Obserwatora los, a właściwie częściowo Związek Literatów Polskich współorganizując dwie imprezy równocześnie: z „Dziennikiem Łódzkim" (inicjatorem festiwalu) — ŁÓDZKĄ JESIEŃ POETYCKĄ MŁODYCH w Klubie Dziennikarza, oraz w swoim lokalu, wespół ze studenckim klubem esperantystów, prelekcję rektora Uniwersytetu Łódzkiego prof. dr Stefana Hrabca „O języku Żeromskiego".

Natura wilka ciągnie do lasu — Jesień Poetycka stała pod znakiem młodości. Wysłuchaliśmy więc wierszy młodych poetów, recytowanych przez studentów PWSTiF, oraz trudnych technicznie utworów Bacewiczówny w wykonaniu adeptów Polihymni. Wśród zebranych, ojcujących i matkujących kaczątkom poetyckim (niektórzy z młodych to już wprost kaczory), widziało się najprzystojniejszego łódzkiego redaktora, paru starszych i średniego pokolenia znanych poetów, dwie poetessy, jedną z Warszawy, drugą z Łodzi, wybitną aktorkę i pedagoga, która tu przyciągnęła za swoimi owieczkami. Inni goście, skromnie pod ścianami, jak mamy na pierwszym balu swych córek. W przerwach syczał ekspres kawowy, unosiły się aromaty wermutów; jury obradowało. Bardzo się ucieszyliśmy, że jedno z dwu pierwszych miejsc, obok Krystyny Wiśniewskiej, zajął współpracujący z „Odgłosami" Michał Szargan (to już jego trzecia nagroda poetycka w tym roku), że równie w jakiś sposób „nasz" Roman Gorzelski (obok Janusza Królikowskiego) otrzymał drugą nagrodę. Dwie trzecie przypadły: Teresie Gabrysiewicz i Kazimierzowi Świegockiemu. A publiczność urządziła niespodziankę: z jej wyboru nagrody przypadły kolejno — I — Jerzemu Jarmołowskiemu, dwie drugie Teresie Gabrysiewicz i Halinie Zielińskiej i III — Romanowi Gorzelskiemu. De gustibus non est disputandum.

PIĄTEK

Był wybrańcem bogów; platonicznym kochankiem dziewcząt całego świata, porywał chłopców, fascynował dojrzałe kobiety, budził zazdrość w mężczyznach. Wybrańcy bogów umierają młodo, Gerard Philippe umarł młodo, ale nie całkiem; zostało po nim parę filmów. Kto z jego wyznawców zapomni „Pustelnię Parmeńską", kto „Fanfana Tulipana"? Został jeszcze mit-wzór współczesnej, nieco chłopięcej urody męskiej, zachowania. I mity umierają, umrze także mit-wzór Jamesa Deana. Narodzą się inne — gorsze, lepsze, ale nowe. „Natura jest ciągłą śmiercią i ciągłym rodzeniem się, niepodobna wstąpić dwukrotnie do tej samej rzeki, bo inne już napłynęły w nią wody". Oto jak melancholijnie i Herakllitowo nastroiło nas Kino Studyjne „Stylowy", organizując wieczór poświęcony rocznicy śmierci Gerarda Philippe'a. Wieczór był zamknięciem cyklu prezentowanych filmów, którym aktor ten użyczył swego głosu i swej ujmującej postaci.

SOBOTA

I jeszcze jeden jubileusz: piętnastolecie Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej im. Leona Schillera. Uroczyste posiedzenie, bankiet, wręczenie nagrody im. Munka dla młodego twórcy za najlepszy filmowy debiut reżyserski roku. Bal. Ale to dopiero w przyszłym tygodniu, zatem szczegóły odłóżmy na później.

OBSERWATOR

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

W sierpniu 1917 roku pewne sprawy zaprowadziły mnie do Władywostoku. Wylądowałem w mieście o wczesnym ranku i czekał mnie tu cały leniwy, niczym nie wypełniony dzień, bo pociąg odchodził dopiero o dziewiątej wieczór.

Obiad zjadłem w brudnej i zatłoczonej restauracji, gdzie do mego stolika przysiadł się jakiś człowiek o dość niezwykłej powierzchowności: wysokiego wzrostu, niebywale otyły, ubierał się niedbale, chociaż od razu widać było, że przywykł do dobrego krawca. Mówił — jak się wkrótce okazało — biegle po angielsku, najpierw rozmawialiśmy o sprawach obojętnych, potem, usłyszawszy, że jestem pisarzem zaczął opowiadać o sobie; i tak dowiedziałem się, że jest prawnikiem, że zmuszony był z przyczyn osobistych wyjechać z kraju i wraca dopiero teraz, po latach.

Jedzenie w owej restauracji było marne, obsługa jeszcze gorsza, ale wolałem siedzieć w zatłoczonej salce i słuchać opowieści nieznajomego, niż włóczyć się bez celu po zaułkach portu. Zamówiłem karafkę wódki, a kiedy wypiliśmy po kieliszku, mój nowy znajomy nieoczekiwanie i obcesowo zapytał, czy jestem żonaty. Przytaknąłem, a on chwilę pomilczał, potem westchnął — jestem wdowcem — i rozgadał się na dobre.

— Moja żona była Szwajcarką — powiedział, rozlewając następną kolejkę. — Była osobą bardzo kulturalną, mówiła płynnie po angielsku, niemiecku i włosku. No i oczywiście po francusku, to był jej język ojczysty. Ona była naprawdę bardzo kulturalną osobą...

Krzyknął coś po rosyjsku do kelnera przechodzącego obok nas z naręczem brudnych talerzy, zapalił dwudziestego chyba papierosa.

— Moja żona była niezwykłą kobietą — powiedział. —

W. SOMERSET MAUGHAM

CHWILA ZWIERZEŃ

Uczyła obcych języków w żeńskim instytucie dla szlachty w Petersburgu. Żyliśmy zgodnie przez wiele lat. Kochała mnie do granic samozatracenia. Niestety była aż chorobliwie zazdrosna.

Przyjrzałem się twarzy mego rozmówcy: był chyba jednym z najbrzydszych ludzi jakich w życiu widziałem. Nie miał w sobie nic z jowialności grubasów. Był po prostu odrażający. Tym dziwniejsza wydała mi się opowieść jakiej słuchałem.

— Nie ma co ukrywać, nie byłem wiernym mężem — ciągnął nieznajomy. — I nie była to wyłącznie moja wina; kiedy się pobraliśmy była już niemłoda. Zresztą nigdy nie grzeszyła urodą. Była z nieponętnego rodzaju niskich, chudych kobiet o ziemistej cerze. Ale może i to byłoby nieważne, gdyby nie jej zły, kąśliwy język. A przy tym zadręczała ją — tak to chyba nazwę — żądza posiadania: Chciała, musiała mnie posiadać bez reszty; była zazdrosna i to nie tylko o kobiety. Także o mych przyjaciół. O mego kota. O moje książki. Kiedyś dała biedakowi mój ulubiony płaszcz — tylko dlatego, że bardzo go lubiłem. Sceny zazdrości nudziły mnie, nie przeczę, ale przykre usposobienie mej żony traktowałem zawsze jako dopust boski. ani mi do głowy nie przychodziło buntować się. Zupełnie tak, jak nie zwykliśmy się buntować przeciw złej pogodzie czy bólom głowy. Gdy dochodziło do scen, przeczyłem jej oskarżeniom, a gdy mi już nie starczało cierpliwości, wzruszałem ramionami i zapalałem papierosa.

Zresztą wyznam, że te sceny miały w istocie rzeczy dla mnie nie takie znowu wielkie znaczenie. Żyłem własnym życiem, czasem tylko zastanawiałem się, czy z jej strony to namiętna miłość czy też może namiętna nienawiść? Bo zawsze mi się zdawało, że miłość dzieli tylko krok od nienawiści.

I pewnie przeżylibyśmy tak całe życie, gdyby którejś nocy nie zdarzyło się coś niezwykłego. Obudził mnie z głębokiego snu przeraźliwy krzyk mojej żony. Spytałem co ją tak wystraszyło, wtedy opowiedziała mi swój sen: śniło jej się, że chciałem ją zabić. Mieszkaliśmy na najwyższym piętrze dużego domu, o oszklonej, otwartej ku górze klatce schodowej. Mojej żonie śniło się, że wracając z opery wchodzimy po tych szerokich marmurowych schodach, że na naszym piętrze znienacka chwy tam ją za ramiona i usiłuję zepchnąć za balustradę, że ona się rozpaczliwie broni, że trzyma się kurczowo balustrady, że widzi o sześć pięter w dole kamienną posadzkę hallu, że czuje jak siły ją opuszczają, i wie, że czeka ją pewna śmierć.

Ten straszny sen wstrząsnął moją żoną i tylko z najwyższym trudem udało mi się ją uspokoić. Ale nazajutrz i przez następne dni mimo, iż usiłowałem całą sprawę zbagatelizować i zbyć żartem, ona raz po raz wracała do tego koszmaru, tak głęboko zapadł w jej umysł. Również i ja odczuwałem męczącą potrzebę rozmyślania o tej historii, chyba dlatego, że nagle uprzytomnił mi ten sen coś, czego nawet nie podejrzewałem: moja żona jak w olśnieniu zrozumiała, że ją nienawidzę, że chętnie bym się jej pozbył. Wiedziała, że jest nieznośna i zrzędliwa, i oto teraz wstrząsnęła nią myśl, że może i byłbym zdolny ją zamordować. Bywa tak często, że nasze myśli nie poddają się naszej kontroli, że musimy się ich wstydzić, ale ja byłem naprawdę niewinny, co najwyżej pomyślałem kiedyś, że dobrze by było, gdyby uciekła ode mnie z kochankiem, może zirytowany — i to nie bez zażenowania — życzyłem jej w złości jakiejś bezbolesnej, nagłej śmierci, która zwróciłaby mi wolność. Ale nigdy, zapewniam pana, nigdy! nie przyszło mi do głowy, że mógłbym od tego nieznośnego często brzemienia sam się uwolnić.

A przecież sen, który tak bardzo nastraszył żonę i na mnie wywarł duże wrażenie. Żona przez jakiś czas była mniej uszczypliwa i bardziej tolerancyjna. A ja wchodząc po schodach mimo woli spoglądałem w dół, za balustradę, myśląc, jak łatwo mogłoby się zdarzyć to, o czym ona śniła, bo balustrada była niebezpiecznie niska. Wystarczyłby jeden energiczny ruch — i po wszystkim. Coraz trudniej było mi uwolnić się od tej natrętnej myśli.

Tak minęło parę miesięcy. Z wolna zaczęliśmy o wszystkim zapominać. Ale któreś nocy moja żona znów obudziła mnie krzykiem. Była śmiertelnie blada, nie mogła opanować łkania i płacząc powiedziała, że znów jej się przyśnił ten sam sen. Pytała czy ją aż tak nienawidzę? Długo musiałem przysięgać na wszystkich świętych całego kalendarza, że ją kocham, nim wreszcie usnęła. Ale od tej chwili już nie zaznałem spokoju. Przez całą bezsenną noc leżałem wpatrzony w ciemności, myśląc o mym życiu, o tym, że mogło być piękniejsze. Wydawało mi się, że widzę, jak ta kobieta wypada za balustradę, że słyszę jej krzyk a potem odgłos upadku ciała, tam, w dole, na kamienną posadzkę hallu.

Nieznajomy jednym haustem wypił kieliszek wódki i otarł pot z czoła. Twarz drgała mu w nerwowym uśmiechu.

— Na co umarła pana żona? — spytałem po chwili milczenia.

Odpowiedział mi nie od razu.

Dziwnym zbiegiem okoliczności znaleziono ją pewnej nocy w hallu nieżywą, widocznie przechyliła się przez balustradę i spadła. Zabiła się na miejscu.

Powiedział to takim tonem, że poczułem się nieswojo.

Znaleźli ją lokatorzy z parteru, kiedy wrócili z opery — dorzucił niedbale.

Rozlałem resztę wódki i unikając jego wzroku spytałem.

— A gdzie wtedy był pan?

Nie potrafię opisać jakim spojrzeniem mnie obrzucił. Jego małe, czarne oczy rozjskrzyły się.

— Och, — powiedział, siląc się na swobodny ton.

Spędzałem wieczór u przyjaciela. Pan mnie rozumie? Miałem alibi.

Fraszki jana Czarnego

HIERARCHIA

Nie każde wie dno,
że jest nie jedno.

NIE SŁUCHAM...

Nie słucham, gdy dranie
prawią kazanie.

* PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIĄGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

Lewym okiem

RACZEJ ODWROTNIE

Szkoda, że kij ma dwa końce. O jeden za dużo. Wcale niełatwo wiedzieć, za który z nich lepiej uchwycić. Z tej niewiedzy i wrodzonej dążności do kompromisu chwyta się czasem pośrodku — i wtedy też nie jest najlepiej: można oberwać każdym końcem z osobna.

Zostawmy jednak kij na boku; w wysoce cywilizowanym społeczeństwie wprawdzie nic nie może się obyć bez pogróżek, nieustannych, częstych, powtarzanych ciągle i co krok, ale nie potrząsa się przecież kijem. Wystarczą zarządzenia i przepisy oraz sankcje, jakie grożą za przekroczenie każdego przepisu.

Otóż, niestety, zarządzenia mają chyba jeszcze więcej końców, mogą zadać więcej niespodziewanych ciosów niż skromna maczuga naiwnego zbója Madeja. Proszę bardzo, mogą być przykłady:

Istnieje przepis, że zakłady przemysłowe położone w promieniu nie większym niż dwadzieścia kilometrów od najbliższej kopalni węgla, powinny być zaopatrywane w węgiel przy pomocy transportu samochodowego. Na tak krótką trasę nie warto angażować taboru kolejowego z całym skomplikowanym ceremoniałem gwizdków, górek rozrządczych, zestawów, bocznic — z koniecznością przeładunku z wagonu na samochód celem dowiezienia ze stacji do miejsca przeznaczenia itd. Całkiem rozsądny przepis. Jego autorzy na pewno nie przewidywali, że spowoduje on przydzielanie węgla wcale nie z najbliższej kopalni. Właśnie z dalszej. Nie dlatego, żeby było śmieszniej, tylko żeby odległość zwolniła z ograniczenia w wyborze środka transportu. — Bo wtedy można sobie i samochodem, i wagonem, jak tam sytuacja podyktuje i jak główny księgowy pozwoli. Wzrastają więc tonokilometry w rejestrach Polskich Kolei Państwowych, mimo że nie wzrosło ani wydobycie węgla, ani jego zużycie.

Panienki w tysiącach biur i instytucji stukają na maszynach. Ciężka praca — siedzieć tak osiem godzin z napiętą bez przerwy uwagą, odgadywać sens z niechlujnych gryzmołów śpieszących się na konferencję referentów, przebierać czarnymi od tuszu palcami po szczekliwych klawiszach. Przy tym — większą część dokumentów odbija się w ośmiu, dziesięciu kopiach, o wszystkim muszą wiedzieć wszyscy: dziesięć segregatorów jednocześnie musi puchnąć w dziesięciu punktach kraju od tych kopii „do wiadomości" i „do wglądu".

Żeby na dziesiątej kopii można było przeczytać przynajmniej adres — bo reszta raczej mało kogo interesuje — panienka musi stukać w klawisze z całą siłą swoich dziewczęcych paluszków. Więc słusznie ustalono w regulaminach płac dla maszynistek, że za pismo o większej liczbie odbitek zdobywa się więcej punktów do premiowania.

Ba, teraz jak przychodzi pan szef z ogromnie pilnym memoriałem, który „musi być na jutro rano", pani maszynistka zgadza się pod warunkiem, że zrobi najmniej pięć odbitek. „Inaczej nie opłaci mi się siedzieć po godzinach". Oczywiście, na takie głupstwo każdy godzi się skwapliwie, walimy po tuzinie kopii każdego najgłupszego listu, pisz pani dwa tuziny byle na dziś! Wraz ze wzrostem wynagrodzenia dla maszynistek wzrasta zużycie papieru, chociaż niektórzy woleliby, żeby było odwrotnie.

Ja wiem, łatwo wybrzydzać. Nie wyciągnę z zanadrza gotowych przepisów, uniwersalnych i przydatnych na każdą okoliczność. Będziemy chyba jednak musieli wracać niekiedy do tego tematu, z takim właśnie zezowatym na rzecz spojrzeniem, wracać i pokazywać ułomność nawet najlepszych intencji wszelkich przepisodawców, a zwłaszcza tę generalną ułomność: przekonanie, że czym więcej zarządzeń, tym mniej niespodzianek i nieporządków. Wydaje mi się, że powyżej pewnego rozsądnego optimum jest raczej odwrotnie.

ĆWIEK

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Wanda Karczewska, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz RUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3687. XII. 64. F-4.